Nr. 40. Poznań, dnia 5-go października 1913. Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 3097.
OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

W błędnem kole.



Po odwiedzinach cesarskich rozmachały się na nowo pióra hakatystyczne, by wykazać bezskuteczność jakiegokolwiek złagodzenia polityki antypolskiej. Posypały się jak z rogu obfitości artykuły ziejące jadem nienawiści do nas, naszpilkowane rozlicznemi projektami nowych obostrzeń i nowych uciemiężeń. Nie ma dnia, żeby gazety nasze nie podawały wyimków z tych plugawych wywnętrzeń polakożerczych. Oczywiście oburzenie na rosnący rzekomo w społeczeństwie naszem radykalizm szczególnie ostry w tych artykułach znajduje wyraz. Tym rzekomym radykalizmem naszym uzasadnia się też konieczność dalszego gnębienia. Nikomu z autorów tych artykułów nie przyjdzie na myśl w złagodzeniu systemu szukać lekarstwa na ujawniające się zło, a gdy wyjątkowo pojawi się w prasie hakatystycznej głos rozważniejszy, domagający się pozyskania serca ludności naszej, to podaje zazwyczaj środki albo przewrotne albo zupełnie niesposobne.

Zarzuty hakatystów przeciw nam kulminują — jak wiadoma — w oskarżeniu, że społeczeństwo nasze pracuje konsekwentnie nad oderwaniem dzielnic polskich od Prus w chwili ku temu podatnej. Przeciwne temu oświadczenia Koła polskiego, a więc oficyalnej reprezentacyi narodu polskiego, żadnej nie znajdują u nich wiary. Znachodzą się nawet hakatyści, którzy utrzymują, że w naszem położeniu i oni dążyliby do wyzwolenia się z pod władztwa Prus, że jednak jako Niemcy tym przypisywanym nam dążnościom przeciwstawić się muszą i muszą dążyć do złamania niebezpiecznych rzekomo dla państwa i niemczyzny aspiracyj polskich.

Strach przed widmem Polski niezawisłej, oto, co podsuwa wrogom naszym najdziksze pomysły, oto, co radzi im przez wykupywanie ziemi naszej, przez germanizacyę kraju i ludności stworzyć na kresach niemczyznę tak silną, aby żadna możliwa w przyszłości Polska nie mogła, (a nawet nie chciała) się upomnieć o swoje najdalej na zachód wysunięte dzielnice.

Że Niemcy chcą utwierdzić swe panowanie w kraju polskim, jest rzeczą tak samo naturalną, jak opór Polaków, którzy nie chcą się pozwolić zdegradować do roli paryasów na własnej swej odwiecznej ziemi. Pod tym względem nie tak łatwo będzie o porozumienie pomiędzy zwaśnionemi narodami. Ani Niemcy ani Polacy nie zrzekną się praw do tej ziemi. My do ostatniego tchu bronić będziemy charakteru polskiego naszego kraju, Niemcy zaś wszystkie wytężać będą siły, by go uczynić niemieckim.

Chodzi tylko o to, czy droga przez hakatystów wybrana wiedzie do tego celu.

Naszem zdaniem jest wręcz przeciwnie. Mimo wiekowy ucisk i wynikające stąd nieuchronnie szkody bilans nasz narodowy bynajmniej rozpaczliwie się nie przedstawia. Owszem przedstawia się lepiej niż przed stu, niż przed pięćdziesięciu, a nawet przed trzydziestu laty. Jesteśmy i liczniejsi i światlejsi i lepiej społecznie zorganizowani i narodowo uświadomieni, a także mienniejsi niż byliśmy poprzednio. Wypracowaliśmy sobie nawet względnie silny stan średni, warstwę do niedawna niemal, że nie istniejącą wcale. Wysiłek germanizacyjny ostatnich lat trzydziestu przyspieszył tylko ten proces.

Widzą to także światlejsi Niemcy i pragnęliby w bardziej skuteczny, a dla nas niebezpieczniejszy zabrać się do nas sposób, n. p. przez kolonizowanie robotników polskich, na których wdzięczność i lojalność się spekuluje.

Bardzo jednak wątpić należy, aby ten rzeczywiście dowcipny sposób polityki pojednawczej u nas zastosowano. Wiadoma przecież, że hakatyści nie mają ani zaufania ani zrozumienia dla metod pozbawionych cech gwałtu i przymusu. A przecież oni zawsze jeszcze w Prusach rządzą — przynajmniej o ile chodzi o politykę narodowościową.

Dla nas polityka hakatystyczna bez wątpienia jest przykra i szkodliwa. Ma ona wszakże tę jedną dobrą i nieocenioną stronę, że jest jasna i niedwuznaczna. Wiemy, czego się po hakatystach możemy spodziewać i według tego urządzamy naszą obronę. Trudniej-

sze stanowisko mielibyśmy wobec ugodowców pruskich. Jeżeli mimo to każdy z nas wolałby, aby w polityce polskiej zwyciężył kierunek umiarkowany, to tłumaczy się to wrodzonem każdemu człowiekowi pragnieniem spokoju. Jesteśmy zmęczeni tą ustawiczną walką, nie dziw, że pragnęlibyśmy złagodzenia chociażby tylko form tej walki zażartej, która każdemu poszczególnemu człowiekowi w jaknajprzykrzejszy się uczuwać daje sposób.

Na razie wszakże brak znaków, aby w polityce polskiej rządu pruskiego na jakiekolwiek zanosiło się zmiany. Istnieją niewątpliwie po stronie niemieckiej prądy pojednawcze, manifestują się nawet w chwili obecnej silniej i wyraźniej niż zazwyczaj, lecz dużo jeszcze wody upłynie nim zdołają uzyskać przewagę nad brutalnym nacyonalizmem i bezwzględnym radykalizmem hakatystycznym. Hakatyzm czerpie swą siłę z modnej dziś w świecie, a szczególniej w Niemczech, doktryny nacyonalistycznej. Dopiero gdy idea ta zbankrutuje, dopiero wtedy możemy się spodziewać zelżenia polityki antypolskiej. Tymczasem jeszcze daleko do tego. Owszem, rozwój spraw w świecie świadczyć się zdaje o stałym wzroście nacyonalizmu. Nie jestto dla nas dobrą wróżbą na czas najbliższy...



Sejmik Spółek.

Jednym z naważniejszych i zarazem najciekawszych punktów Sejmiku jest *sprawozdanie* ks. Patrona. Coprawda ukazuje się corocznie przed Sejmikiem obszerne drukowane sprawozdanie, ale sprawozdanie to zawiera tylko suche liczby, a nie podaje nam wszystkich tych losów przyjaznych i nieprzyjaznych, których spółki w ciągu roku doznały. Dopiero na Sejmiku daje ks. Patron sprawozdanie wyczerpujące, a podaje nie tylko suche fakty, ale też i wnioski, które z doświadczeń w ciągu roku nabytych wysnuć powinniśmy.

Rok 1912 był dla spółek naszych dosyć ciężki. Mianowicie pod koniec roku przebył cały szereg spółek twardą próbę swej sprawności, będąc narażony na popłoch deponentów. Próbie tej *wszystkie* spółki sprostały *znakomicie*, i złożyły tem samem dowód, że funkcyonują prawidłowo także w czasach krytycznych. Z otuchą zatem patrzeć możemy w przyszłość.

Nie zawiodły się też spółki na swej centralnej instytucyi, na Banku Związku Spółek Zarobkowych. W krytycznym czasie wypłacił Bank Związku spółkom ośm milionów marek, a gdyby była większa jeszcze potrzeba, byłyby spółki otrzymały dwa razy tyle lub jeszcze więcej. Jakiem zaufaniem nieograniczonem cieszy się Bank Związku w społeczeństwie, na to najlepszym dowodem fakt, że właśnie w najkrytyczniejszym czasie, gdzie z wszystkich banków wycofywano pieniądze, publiczność w Banku Związku złożyła dwa i pół miliona marek. Bank Związku, założony kiedyś z 40,000 marek kapitału zakładowego, rozrósł się do bardzo poważnej instytucyi. Jest to też konieczne. Chcąc należycie służyć naszej wielkiej organizacyi spółkowej, musi też Bank Związku sam być odpowiednio wielkim. Dlatego z uznaniem powitać należy, że Bank Związku począł rozwijać swą działalność za pomocą filij. W roku bież. otworzył Bank Związku filię w Toruniu, która już bardzo dobrze się rozwija, dalej na sezon kąpielowy ajenturę w Sopotach, stałą ajenturę w Skalmierzycach i wreszcie drugą filię w Bochum, w Westfalii. Filie te przyczynią się bezwątpienia do dalszego rozrostu Banku Związku, tak, że w przyszłości będzie jeszcze pewniejszem oparciem dla spółek niż dotąd.

Rok 1912 do tłustych lat nie należał. Dlatego też kapitały naszych spółek mniej wzrosły niż po inne lata. Szczególnie depozytów przybyło znacznie mniej. Podczas gdy po inne lata przyrastało depozytów około 25 milionów marek rocznie, to w roku ubiegłym przyrost ten wyniósł tylko 16 milionów mk. Ciężkie przejścia w roku ubiegłym objaw ten dostatecznie tłomaczą, ale mimo to budzi rozwój ten poważne obawy. Obawy te są tem większe, że, jak wszystko zapowiada, będziemy takich chudych lat mieć cały szereg.

Brak kapitałów daje się tem dotkliwiej odczuwać, że zapotrzebowanie kredytu jest u nas ogromne. Rolnicy, rzemieślnicy, kupcy i fabrykanci, wszyscy jęczą na brak gotówki, a banki potrzebom tym nie mogą zaradzić. Dużo przedsiębiorstw, skądinąd zdrowych i dobrze prowadzonych, li tylko dla braku kredytu popada w konkurs, a liczne gospodarstwa, nie mogąc uzyskać pożyczki na hipotekę, choć pewną, idą na subhastę. W ten sposób tracimy nie tysiące, lecz miliony, i ubożejemy dalej, — a wszystkiemu zaradziłoby się, gdyby do Banków naszych spływały większe kapitały.

W ostatnich kilku latach było inaczej; tam depozyta w bankach rosły tak, że szereg banków nawet nadmiar miał gotówki. Dziś te źródła, które przedtem tak obficie płynęły, wyschły, a w tłustych latach nie pamiętaliśmy niestety o tem, by sobie stworzyć źródła stałe i pewne, któreby nigdy nie wysychały. Dziś widzimy jasno, że przyzwyczailiśmy się za bardzo do lat tłustych, że zapomnieliśmy o tem, że najpewniejszem źródłem stwarzania kapitału jest oszczędność. Nareszcie spółki nasze przypominają sobie o tem zapomnianem źródle, z którego inne narody czerpały już miliardy, i zabierają się do krzewienia tej cnoty oszczędzania.

Już dotąd istniał u nas szereg kas, zbierających drobne oszczędności, szczególnie od dzieci. Kasy te założone przez ludzi dobrej woli, nie miały jednak należytego poparcia i dlatego nie bardzo się rozwijały. Teraz postanowiły nasze banki ludowe zająć się temi kasami drobnych oszczędności, i sprawa ta stanowiła także jeden z najważniejszych punktów obrad Sejmiku. Uchwalono kasy te oprzeć o spółki i pracować nad ich rozbudzeniem, ażeby społeczeństwo nasze nauczyć systematycznego oszczędzania i stworzyć w ten sposób źródło, z którego płynąć będą kapitały także i w czasach trudnych.

Czy jednak usiłowania te odniosą pożądany skutek, to nie będzie zależało jedynie od naszych spółek, lecz w wielkiej mierze także od całego społeczeństwa. Usiłowania spółek poprzeć powinna każda rodzina, przyuczając dzieci swe do składania drobnych oszczędności i świecąc im dobrym przykładem.

Większość punktów obrad zmierzała do coraz lepszego prowadzenia interesów spółek i interesowała w pierwszym rzędzie członków zarządów i rad nadzorczych spółek. Szersze natomiast znaczenie ma *sprawa kredytu dla kupców i przemysłowców*, którą już także w piśmie naszem omawialiśmy, i która dlatego Czytelnikom naszym jest znana.

Sejmik także zajmował się tą sprawą, rozważając mianowicie, czy zaleca się zakładanie banków dla kupców i przemysłowców. W ostatnim czasie niektóre koła kupieckie tego żądały, sądząc, że w ten sposób łatwiej będzie kupcom uzyskać kredyt odpowiedni. Tymczasem doświadczenia tak w innych krajach jak i u nas wykazały, że takie banki dla jednego stanu przeznaczone rozwijać się nie mogą należycie. I u nas już założono kilka takich spółek kredytowych, jednakże spółki te oprócz nazwy niczem innem się nie różnią od zwykłych banków ludowych. Korzyści więc specyalnych kupcom i przemysłowcom przynieść nie mogą, a częstokroć działają wprost szkodliwie przez to, że przez wzajemną konkurencyę podnoszą stopę procentową. Oprócz tego prawie wszystkie te spółki gospodarzą dwa razy tak drogo jak inne banki ludowe, wskutek tego też kredyt

przez nie udzielony jest droższy niż gdzieindziej.

Stanowczo potępił Sejmik zakładanie spółek kredytowych *z ograniczoną* poręką. Mamy coprawda w Związku spółki kredytowe z ograniczoną poręką, ale spółki te założono pierwotnie z nieograniczoną poręką i dopiero gdy uzbierały wysokie udziały i rezerwy, zmieniono rodzaj odpowiedzialności. Młoda natomiast spółka, nie posiadająca prawie żadnych kapitałów, i tylko ograniczoną odpowiedzialność, nie daje deponentom tej pewności, której wymagać musimy. Założyciele takiej spółki, nie mogący się zdecydować na odpowiedzialność nieograniczoną, sami jasno oświadczają, że do spółki nie mają należytego zaufania. Niesumiennością wówczas jest, dla spółki takiej łowić depozyta.

Jak Sejmik z jednej strony doszedł do przekonania, że odrębne spółki kredytowe dla kupców i przemysłowców nie są zdolne do rozwiązania sprawy kredytu dla kupców, tak z drugiej strony zaznaczył, iż nie wszystkie banki ludowe czynią tyle w tym względzie, ileby mogły. Szczególnie podwyższa cały szereg banków ludowych w czasach drożyzny pieniężnej procent tylko od weksli kupieckich, rolnikom stopy procenowej nie zmieniając wcale. Wobec tego zawezwał Sejmik spółki, by różnica między procentem od pryma weksli a procentem od weksli z podkładką hipoteczną nie była nigdy zbyt wielką, najwyżej jeden procent. Jeżeli podniesienie procentu jest konieczne, natenczas lepiej podwyższyć nieco procent od wszystkich weksli, niż składać cały ciężar na jeden tylko stan.

Uchwałę tę sejmikową przyjmą sfery kupieckie i przemysłowe niewątpliwie z wielkiem zadowoleniem. Do nich też wystosował Sejmik apel, aby najdzielniejsze jednostki z pomiędzy kupców i przemysłowców wstępowały do rad nadzorczych banków, i w ten sposób ułatwiały i popierały uchwalanie słusznych kredytów dla kupców i przemysłowców.

Całe przygotowanie i przebieg Sejmiku spółek świadczy o tem, że mężowie stojący na czele Związku spółek rzetelnie dbają o dobro spółek i całego społeczeństwa. Dlatego słusznie społeczeństwo darzy cały Związek nieograniczonem wprost zaufaniem.

Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony.

* * *

Niemasz człowieka, któremuby w życiu nie zdarzyła się chwila twórczego natchnienia.

* * *

Są w życiu wstrząśnienia, po których wrócić do spokoju nie łatwo.

* * *



Unia Horodelska.

W pięćsetną rocznicę.

2. 10. 1413 — 2. 10. 1913.

(Dokończenie.)

Zatrważał w tej mierze przedewszystkiem przykład owej srogiej zdawien dawna niewoli nad całą Litwą, gnębiącej w tym samym stopniu możniejszych i ubogich, a od czasów połączenia się Polski z Litwą jedynie możniejszym umniejszonej, ludowi zaś równie ciężkiej nadal, jak dawniej. Nie mniejszą obawę wzbudzać mogła owa panująca w Litwie mnogość podrzędnych, a zawsze monarchicznie panujących u siebie rodzin książęcych, zniżonych z czasem do poziomu zwyczajnej szlachty polskiej, a dających tej szlachcie ponętny przykład ambicyi możnowładczej. Również gorszącym wzorem groziła z Litwy obyczajom i życiu codziennemu owa starolitewska zmysłowość, zamiłowana w pogańskim niegdyś zbytku biesiad, guseł, zabobonów i t. p.

W koniecznem odtąd przez długie lata ścieraniu się polskich żywiołów oświaty zachodniej z litewskiemi żywiołami oświaty wschodniej, jakże zgodzi się duch zachodnich „wolności katolickich" z ową oryentalno-litewską niewolą ludu, gotową odebrać sobie życie na rozkaz księcia? Jakże polskie zamiłowanie w gminowładnej równości i braterskości szlacheckiej potrafi dotrzymać kroku litewskiemu możnowładztwu dumnych rodzin książęcych, zniewolonych do pozornej równi z tłumem szlacheckim, a w rzeczy przyuczających go służalstwa i obyczajów niewoli? Jakże wogóle przy ogromnej większości coraz bardziej z litewska zniewolonego ludu utrzyma się polska swoboda coraz zuchwalszej mniejszości panów i szlachty? — jak przy niedość stanowczo przeprowadzonem dziele pojednania religijnego ostoi się zachodnia wiara panów obok wschodniej wiary poddanych? Przez samo serce państwa Jagiellońskiego szła niegdyś granica oryentu i okcydentu — dzieje tegoż państwa podjęły się próby z pośredniczenia tych tak przeciwnych krańców — od tej wielkiej, lecz niebezpiecznej próby nie zakrwawiż się serce samemu państwu?

W horodelskich jednakże czasach było ono jeszcze zdrowe i całe. Horodelskie czasy (według samychże ruskich zeznań) „kwitnęły pomyślnością i szczęściem", ponieważ, rozpocząwszy w istocie ową próbę zuchwałą, prowadziły ją w duchu umiarkowania i miłości. Wtedy nieroznamiętniona jeszcze chęć jednoczenia nie sprawiała tem większej sprzeczni, i godzono się chętnie na jedność, gdy już i przedtem panowała zgoda wzajemna.

Pod jej skrzydłem biskup zachodni poprzestawał przyjaźnie z biskupem wschodnim, i nawet niechrześcijaninowi nie wzbraniał chrześcijanin sąsiedztwa spokojnego. Obaj monarchowie horodelscy szczycili się tytułem „wikaryuszow stolicy rzymskiej", a osiedlone w Litwie Tatarstwo mahometańskie, później srodze prześladowane, teraz w pokoju i bezpieczeństwie żyjące, chwaliło sobie czasy rządów Witolda jako lata błogosławieństwa.

Względem rodowitych Litwinów, jako do bezwarunkowego posłuszeństwa niewoli zobowiązanych książętom swoim, pozwalali sobie ciż książęta środków przymusu przy apostolstwie, lecz względem Rusi „nie godziło się jeszcze używać materyalnego oręża do nawracania na wiarę, do której jedynie łaska prowadzi." Późniejsza zaciekłość umysłów, roszcząca sobie pretensyę do większej od samego Ojca św. świętości i gorliwości, nieposłuszna samemuż Rzymowi, gdy Rzym np. prosił o braterstwo dla zjednoczonego już duchowieństwa ruskiego, zachowywała się teraz w granicach chrześcijańskiego umiarkowania, starodawnej niewybredności.

A w zgodzie umysłów, wyznań i ludów — nie było także niezgody między berłami monarchów zjednoczonych. Nawet owe tak wielkie osławione waśnie między Władysławem Jagiełłą a Witoldem w latach nieco późniejszych, owe koronacyjne zamiary Witoldowe, nie miały wcale tak wielkiej wagi, jaka im przyznawana bywa niekiedy. Były to zwyczajne wówczas zamiary uświetnienia się blaskiem królewskim, nie przynoszącym Witoldowi żadnego w rzeczywistości przyrostu władzy i nie pociągającym za sobą potrzeby zerwania unii z Koroną.

Wskutek tylokrotnie bowiem ponawianych układów, a jeszcze bardziej wskutek obopólnych korzyści zjednoczenia, musiałaby była uzyskana przez Witolda korona pozostać nadal w takiej samej zawisłości od Polski, jaką tylu innych królów ówczesnych ulegało swoim zwierzchnikom. Według pojęć ówczesnych, poczytywali tacy zwierzchnicy królewskie udostojnienie swoich hołdowników raczej za własny zaszczyt, niż ubliżenie, widzieli w niem nietyle uszczerbek władzy, ile raczej podwyższenie własnej dostojności zwierzchniczej, a może nawet rzeczywiste ukrze-

pienie monarchicznej powagi swojej.

Ztąd jak np. królowie niemieccy przyznali godność królewską hołdownym książętom czeskim, jak nasz własny król Ludwik pozwolił swemu krewniakowi Twartkowi przybrać w r. 1366 berło królewskie w Bośni, a nie utracił przez to zwierzchności nad tą Bośnią, tak i Władysław Jagiełło nietylko nie wzbraniał Witoldowi korony, lecz sam, owszem, oddawna ułatwiał mu jej osiągnienie.

Czy to zresztą przy Witoldowych zamysłach koronacyjnych, czy bez nich, panowała zwyczajnie najprzykładniejsza zgoda pomiędzy naszymi wnukami Gedymina. Witold uznawał chętnie zwierzchnictwo brata, powtarzał wielokrotnie, iż nie może stanowić nic bez Jagiełły, a za granicą, nawet u świadomych właściwego stanu rzeczy w Polsce Krzyżaków, poczytywano Witolda jedynie za „wielkiego urzędnika Jagiełły."

Mocni tą braterską jednością, byli obaj bądź to wobec państw zagranicznych, bądź we własnych państwach, zarówno potężni i szanowani. Władysław Jagiełło działał i słynął głównie ku zachodowi, Witold ku stronom wschodu. Tamtemu różne obce narody kłaniały się dobrowolnie do kolan, niosły berła swoje Węgry i Czechy, o tym, o szerokiej na wszystek świat potędze Witoldowej krążyły w Litwie prawdziwie oryentalnie przesadne wieści.



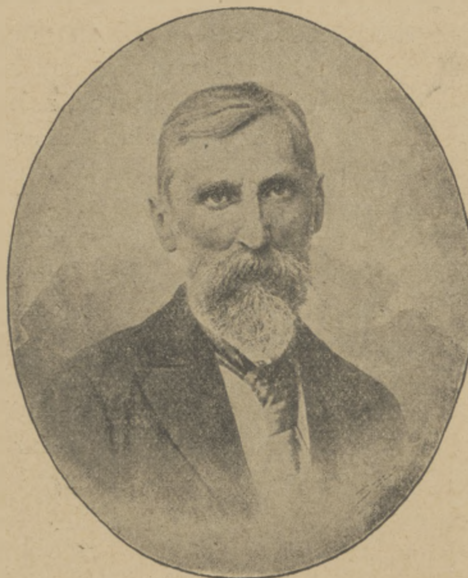
Towarzystwo szkoły ludowej w r. 1912.

„Rokiem nadziei wielkich, a rozczarowań gorzkich" rok ubiegły nazwaćby można. Społeczeństwo polskie w odgłosy bojów bałkańskich wsłuchane, w opisy bohaterskich walk ludów słowiańskich wczytane, uświadomieniem narodowem, samozaparciem się i poświęceniem mas chłopskich zdumione i zelektryzowane — z zapartym oddechem śledziło ten odruch Słowian południowych, którzy na pierwsze wezwanie ponieśli życie ojczyźnie swojej na stos ofiarny, niczego nie szczędząc, byle kraj z wielowiekowego ucisku i niewoli wyzwolić i stanąć w szeregu ludów niepodległych, własną kulturę narodową rozwijających, własnem życiem politycznem żyjących. Nam Polakom przypadło w udziale być tylko widzami tej dziejowej zawieruchy, która jednakże dla nas ten ujemny miała skutek, że na czas pewien odwróciła uwagę społeczeństwa od spraw bieżących, u siebie w domu dawniej rozpoczętych.

Stanęły przed nami nowe zadania, nowe pola pracy odłogiem leżące, chwastami zapomnienia zarosłe, a do odrobienia pilne, pobudzające ducha rycerskiego w narodzie, wnoszące w dusze ludzkie nowe myśli, porywy i pragnienia, a odciągające od zaduchu waśni partyjnych, ukazujące jej te ideały, któremi żyliśmy niegdyś, które zagrzewały do wielkich czynów naszych przodków, a które po 63-im roku gdzieś się zagubiły, gdzieś się rozpłynęły w czasu przestrzeni. Wypadki, w które obfitowała druga połowa 1912 roku, nakazywały nam wsłuchiwać się bacznie w tętno życia politycznego, bo zdawało się, że i na naszym zegarze dziejowym, godzina wyzwolenia się zbliża.



Allegorya Towarzystwa Szkoły Ludowej.



jeden z twórców T. S. L.

Godzina ta nie wybiła.

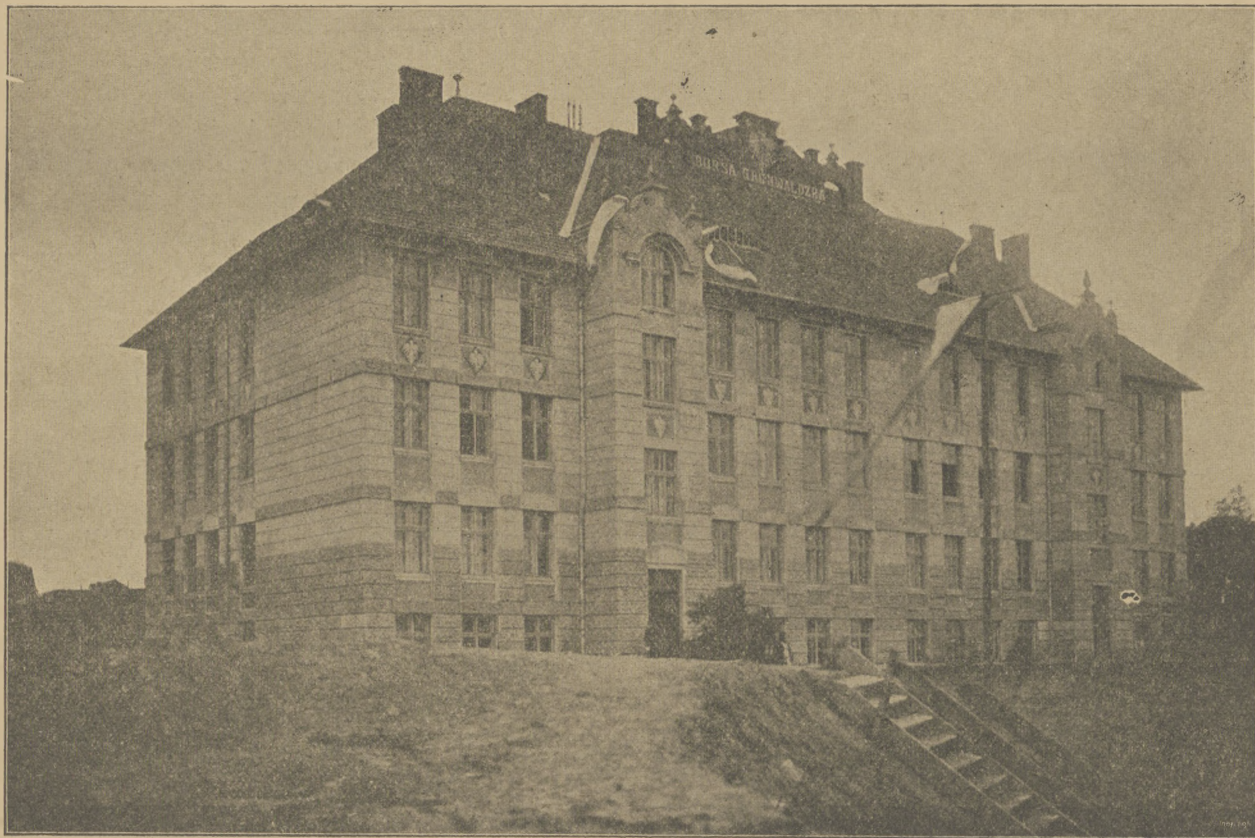
Okazało się dowodnie już po raz niewiedzieć który, że na nikogo i na nic, prócz tylko na siły własne, naród rachować nie powinien, że sam o sobie pamiętać musi i na wszelkie wypadki być przygotowany, musi się pokrzepiać na wewnątrz, musi wydobywać na wierzch wszystkie wartości duchowe, jakie drzemią w masach ludowych, bo w nich nasza przyszłość, bo od ich siły i od ich samowiedzy losy naszej Ojczyzny dziś tylko zawisły.

Te wartości, utajone w ludzie polskim, dawno już nie ujawniły się tak wymownie, jak w roku ubiegłym. Ale dało się zauważyć, że energia społeczna, w tym kierunku najbardziej wytężona, osłabła zato na innych polach, odwróciła uwagę i odciągnęła siły od prac oświatowych pozaszkolnych w czytelniach i domach ludowych, co silnie się odezwało w T. S. L. przez pewien, jak gdyby zanik roboty w Kołach, zwłaszcza słabszych. Jest to objaw bardzo niepożądany może zresztą zrozumiały i usprawiedliwiony w pierwszym roku istnienia organizacyj wojskowych, ale objaw, który w roku następnym już powtórzyć się nie powinien, a równowaga między jednym i drugim systemem pracy wychowawczej musi być utrzymana na całej linii. Na K. T. S. L. spada obowiązek, aby w roku 1913 ta równowaga została przywrócona i aby zastój tam, gdzie on się dał zauważyć, był co rychlej powetowany. Linia rozwoju wszystkich stworzonych przez nie posterunkach musi z każdym rokiem iść w górę. Od początku swego istnienia T. S. L. rozwija się bowiem w warunkach takich, że pracy swojej utajać nie po-

trzebuje, ani obawiać się, by praca ta, o „przeciwpaństwowość" w dążeniach posądzona, runęła, aby ktokolwiekbądź więzieniem lub grzywną przypłacił, że oświaty kaganiec do chaty niesie.

Pracą swoją ogarnia T. S. L. zarówno wieś, jak i miasto. Poziom życia wsi polskiej podnosi się widocznie, wpływy suwa się coraz bardziej ze wsi do miast, że bardzo często żywioł miejski decyduje o opinii panującej w społeczeństwie nieraz z pominięciem wsi.

To też w najbliższym czasie praca Towarzystwa w tym kierunku musi się potoczyć i przybrać konkretniejsze formy. Zjazd w Tarnowie zapewne w tej wątpliwości szkoły, których koszt utrzymania z roku na rok powiększał się niepomiernie obciążając budżet Towarzystwa. Pod wpływem wypadków i za wolą społeczeństwa wzięło na siebie społeczeństwo ciężar, który, jak obecnie okazuje się, przechodzi jego siły, a także siły niezbyt zasobnego społeczeń-



Bursa grunwaldzka T. S. L. we Lwowie.

to szkoły, ale większy jeszcze wpływ wywarła tu oświata pozaszkolna przez kooperatywy, czytelnie i domy ludowe, udział chłopa w życiu politycznem itd. Chłop polski dźwiga się i dorabia ekonomicznie, wyrabia się politycznie, usamodzielnia. Więc praca oświatowa nabiera na wsi rozpędu, mnożą się setkami teatry i czytelnie, powstają coraz to nowe domy ludowe, rozwijają się teatry i chóry włościańskie, książki i gazety w tysiącach egzemplarzy krążą wśród ludu wiejskiego. A choć i tam dużo jeszcze biedy, choć to ciągłe zmaganie się z klęskami żywiołowemi byt rolnika utrudnia, niemniej jednak T. S. L. może z zadowoleniem spoglądać na dwadzieścia dwa lata zmudnej, ale równej i spokojnej pracy, coraz lepsze, coraz owocniejsze rokujące nadzieje na przyszłość.

Zato wiele pozostaje jeszcze do zrobienia w mieście, gdzie pracy oświatowej prawie nie widać. A choć pole pracy i tu obszerne, na ogół dostępniejsze, przecież na tym terenie praca idzie jakoś z oporem, trwożnie, dorywczo, bez planu i śmiałej wytycznej akcyi. A właśnie zadania tu są wielkie, jeśli się zważy, że mimowoli środek ciężkości życia politycznego i narodowego prze sprawie wypowie się w szeregu uchwał i rezolucyj.

Mimo tak niepomyślnych konjunktur politycznych w naszym kraju,



Julia Bobrzyna,
pierwsza włościanka-ofiarodawczyni gruntu pod czytelnie T. S. L.

praca towarzystwa nie doznała jeszcze uszczerbku, jak to wykazuje sprawozdanie za rok ubiegły. Największą uwagę Zarządu głównego pochłaniały bez stwa naszej dzielnicy. W r. u. utrzymywało T. S. L. trzy szkoły średnie, a mianowicie gimnazyum w Białej i Orłowej, oraz seminaryum nauczycielskie. Gimnazyum realne w Białej liczyło pięć klas i 189 uczniów, koszt utrzymania zaś wynosił 36 570 kor. Do seminaryum nauczycielskiego, które w roku ubiegłym wysłało pierwszych swych wychowanków po zdaniu matury do pracy obywatelskiej, uczęszczało 86 uczniów, a koszt utrzymania wynosił 40.639 kor. Gimnazyum realne w Orłowej liczyło 4 klasy, 294 uczniów, a koszt utrzymania wyniósł 48 tysięcy 683 kor.

Dodać nadto wypada, że seminaryum nauczycielskie w Białej i gimnazyum realne w Orłowej posiadało wspaniałe budynki zaopatrzone we wszystkie przybory szkolne. Cyfry powyższe wskazują, że zakłady te były potrzebne i dzięki nim przeszło pół tysiąca młodzieży nie ulega germanizacyi w szkołach niemieckich. Nadto utrzymuje T. S. L. seminaryum nauczycielskie im. Preisendanza, na co posiada osobny fundusz i kursa przygotowawcze do matury seminaryalnej we Lwowie. Ogółem utrzymanie szkół średnich kosztuje 160 tys. 431 kor. Szkół wydziałowych utrzymuje T. S. L. 4, dwie w Białej, męską i

żeńską, oraz w Morawskiej Ostrawie i Czechowicach. Do szkół tych uczęszczało 354 dzieci. Nadto na kresach zachodnich utrzymuje T. S. L. szereg szkół ludowych. I tak w Białej i okolicy Białej 5 szkół z 860 dziećmi, z 24 klasami, na Śląsku 3 szkoły z 322 dziećmi w 9 klasach, wreszcie na Morawach w Ostrawie Morawskiej, Przywozie i Maryańskich Górach 3 szkoły z 17 klasami i z 822 dziećmi. Utrzymanie szkół wydziałowych i ludowych wyniosło w r. u. 213 tys. 777 kor. Koszt tych szkół jest na zachodzie niezwykle znaczny, albowiem szkoła polska musi rywalizować z obcemi szkołami, które są niezwykle szczodrze wyposażone, a ludność polska kulturalnie wysoko stojąca umie ocenić doniosłość nauki jak też i wartość szkół.



Gimnazyum i seminaryum nauczycielskie w Białej.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa na wschodzie, gdzie idzie raczej o to, aby to dziecko polskie, albo wogóle umiało czytać i pisać, albo też, aby nie zruszczyło się w szkole ruskiej. Co prawda dzisiaj w Galicyi zaledwie w kilkudziesięciu gminach niema szkół, a i tam powstaną w najbliższym czasie szkoły, tak, że kraj nasz będzie się znajdował w tem szczęśliwem położeniu, że w każdej miejscowości będzie miał szkołę. Jednak od faktu na papierze do rzeczywistości daleko, gdyż w wielu gminach mimo kreowania szkoły przez radę szkolną krajową, szkoły niema z powodu braku pomieszczenia. Nadto bardzo wiele miejscowości jest takich, że powinny tam być dwie szkoły z powodu zbytnio wielkiej rozciągłości wsi. Wreszcie co najgorsze, że w wielu miejscowościach na wschodzie o większościach ruskich a mniejszościach polskich jest tylko szkoła ruska, a polskie dzieci muszą kształcić się w szkole ruskiej, wskutek czego ulegają rutenizacyi. Nic więc dziwnego, że zarząd T. S. L. baczną zwrócił uwagę na kresy wschodnie i na stan szkolnictwa polskiego w ogólności i od początku swej pracy w tym kierunku kreował 380 szkół, z czego tylko 16 przypada na kresy zachodnie, a reszta rozsiana jest po całej Galicyi. Większość tych szkół uposażona jest we własne budynki, część tych szkół przeszła na etat publiczny, mimo to jak daty statystyczne stwierdzają, jeszcze na tem polu jest wiele do zrobienia i jak znów sprawozdanie ostatnie towarzystwa świadczy, praca towarzystwa ostatnio przedewszystkiem na wschód jest skierowana. Również podnieść należy, że nietylko sam zarząd główny tu pracuje, ale pomagają mu dzielnie niektóre koła, które same utrzymują szereg szkół na terytoryach swej pracy. Wskutek uchwał na poprzednich zjazdach asygnował zarząd T. S. L. z funduszu Grunwaldzkiego kwotę 133 tys. na szkoły we wschodniej części kraju, z których pobiera naukę 21 tys. 840 dzieci polskich. Nadto w ochronkach jeszcze kształci się 251 dzieci. W inną stronę zwróciła się praca T. S. L. szczególniej na prowincyi, z chwilą, gdy zaczęliśmy szerzyć hasło uprzemysłowienia kraju. Spostrzeżono odrazu, że brak sił fachowych w dużej mierze stoi temu na przeszkodzie.

Stąd powstał odruch do kreowania szkół i kursów handlowych, zanim reprezentacya nasza będzie łaskawą cośkolwiek wywalczyć, czy też wysoki rząd zechce sam stworzyć tego rodzaju szkolnictwo w Galicyi. Takich kursów na Śląsku, Morawach i Galicyi otwarto i utrzymuje się 48.

Wreszcie nie zaniedbano i tej najstarszej placówki, przez którą T. S. L. zaczęło zwalczać ciemnotę w kraju, a mianowicie kursów dla analfabetów. Ostatnie sprawozdanie wykazuje, że było w Galicyi takich kursów w u. r. 101 z 2544 uczącymi się obojga płci. Nadto istniało 40 szkółek początkowych we wschodniej części kraju, w których uczyło się 1570 dziatwy.

Tutaj zauważyćby należało jeszcze jedną stronę działalności Towarzystwa, a mianowicie opiekę nad młodzieżą. Tę stronę swej działalności w różny sposób towarzystwo wypełniało. I tak wznosiło i utrzymywało bursy, ochronki, uczelnie młodzieży szkolnej i ogniska dla młodzieży rękodzielniczej.



Wnętrze warsztatu w Szkole T. S. L. w Kulikach.

Ogółem utrzymywało T. S. L. w r. u. 22 kursy, w których znachodziło pomieszczenie 933 wychowanków, 10 ochronek wraz z 776 dziećmi. Niektóre bursy jak we Lwowie, w Tarnowie i w. i. miejscowościach posiadały wspaniałe gmachy i nowoczesne urządzenia. Uczelń, to jest sal, w którychby mogła biedna mło-



Szkoła wydziałowa w Czechowicach.

dzież w godzinach pozaszkolnych, pozbawiona odpowiedniego miejsca do nauki, uczyć się, posiadało tow. 10. Ogniska o podobnym zakresie dla młodzieży rękodzielniczej były przeznaczone, a było ich dotąd pięć. Tak w ogniskach, jak też w uczelniach skupiało się do tysiąca młodzieży.

To byłaby jedna strona działalności towarzystwa. Drugą to szerzenie oświaty pozaszkolnej, to praca kulturalno-oświatowa wśród ludności włościańskiej i robotniczej przez zakładanie i utrzymywanie czytelń, wygłaszanie odczytów itp. Na tem polu znać było w roku bieżącym pewien zastój. Złożyły się na to powody z jednej strony natury politycznej, z powodu wojny bałkańskiej, jak też zapewne odbiło się i położenie finansowe tak kraju, jak samego Towarzystwa. Ilość wypożyczalń wynosząca w r. 1911 2718 podniosła się zaledwie o 48. W liczbie tej znajduje się 1161 wypożyczalń połączonych z czytelniami, 336 czytelń, 49 bibliotek wiejskich i książnic publicznych oraz 41 bibliotek ruchomych. We wszystkich czytelniach i bibliotekach znajdowało się około 370 tys. książek, czyli o 25 tys. więcej niż poprzedniego roku. Czasopism było w czytelniach 3.043, mniej więcej tyleż co roku poprzedniego.

Co do dalszej pracy na polu oświatowem zauważyć należy przedewszystkiem poważną ilość odczytów wygłoszonych przez delegatów T. S. L. I tak z obrazami świetlnemi było 1104 odczytów, oraz 5083 odczytów i pogadanek bez obrazów. Nadto odbyło się z inicyatywy T. S. L. blizko tysiąc wieców w sprawach narodowych, przeważnie w sprawie upaństwowienia szkół T. S. L. w Białej, oraz 213 różnych zjazdów. Może najbardziej zaszczytną pracą w tym kierunku, bo stawiającą wieś polską w rzędzie wsi na zachodzie, jest formacya domów ludowych. Domy te powstawały tak po miastach, jak i po wsiach. Domów ludowych istnieje obecnie 67, w tej liczbie przybyło 20 w bież. r.

Wreszcie dodać wypada, że Zarząd główny o ile mógł w toku i w nawale spraw nie zaniedbywał pracy oświatowej. I tak urządził kursa systematyczne w sprawach oświatowych, utrzymywał wypożyczalnię przeźroczy, z której wypożyczono 32 tys. przeźroczy w ub. r., nadto utrzymywał centralną składnicę książek, przeznaczonych i specyalnie wybranych dla T. S. L.

Nadto opiekował się zarząd główny tego rodzaju kulturalnemi sprawami, jak teatry amatorskie, przedstawienia, chóry, orkiestry, wystawy, muzea itp. Pracę tę urzeczywistniały Koła w miarę swych sił i środków. Nadto odbył się w ubiegłym roku szereg zjazdów oświatowych w różnych stronach kraju nad ujednostajnieniem pracy oświatowej.

Jedno z kół krakowskich zajmowało się przedewszystkiem sprawami wycieczek przybywających do Krakowa, podczas gdy koła prowincyonalne je urządzały. Ogółem odbyło się w r. ubiegłym 101 wycieczek, w których wzięło udział 5576 ludzi.

Wreszcie jeszcze słów parę o stronie materyalnej.

Obrót kasowy wynosił w r. u. 1,939 713 kor. Budżet wydatków na rok następny wynosi 933.494 kor., dar narodowy 3 maja wyniósł 64 tys. 491 kor. Dochody kół wyniosły 1,249 730 kor., wydatki 1,140.452 kor. Deficyt Towarzystwa w r. bież. doszedł do sumy 252 tys. 157 k., zaś ogółem deficytu ma T. S. L. przeszło pół miliona koron. Zarząd główny miał dochodów 970 tys. 926 kor., rozchodów 974 tys. 968 kor.

S. W.

Grzesznik leży, pokutnik dźwiga się na nogi, a święty stoi prosto, gotowy do drogi.

*

Zaiste miłe Bogu jest Aniołów pienie, ale daleko milsze człowieka milczenie.

* * *

Siła rodzi się tylko z bólu.

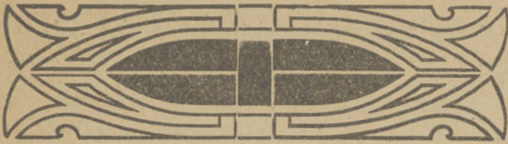


Szkoła polska T. S. L. w Ulicku Seredkiewicz.
(Pierwszy budynek szkolny, wzniesiony przez Zarząd Główny T. S. L. w r. 1894).

Starzejcie się rozumem, dojrzewajcie wyobraźnią, wyrabiajcie wolę silną, ale bądźcie sercem młodzi na wieki wieków.

*

Nie można inaczej zrozumieć przeszłości, jak wpatrując się pilnie w teraźniejszość.



Tadeusz Dąbrowski.

Pamięci Józefa Korzeniowskiego.

(W pięćdziesiątą rocznicę śmierci.)

(Ciąg dalszy.)

II.

Dramat.

Pracę literacką na szerszą skalę rozpoczął Korzeniowski w kierunku dramatycznym. W czasach bowiem, gdy wyrastał, dojrzewał, szczególną wagę przywiązywano do tego rodzaju literackiego. W Polsce dramat się nie rozwinął. Wielu badaczy twierdzi, że nawet rozwinąć się nie mógł. Wskazują niektórzy na spokojny charakter Słowian, wobec którego niemożliwe byłyby konflikty dramatyczne. Inni twierdzą, że Słowianie, a więc i Polacy, dalecy byli od spekulacyj filozoficznych, od zapuszczania się w szczytowe zagadnienia myśli i bytu ludzkiego. Już Mickiewicz niegdyś w „Wykładach literatury słowiańskiej" twierdził, że Słowianie prócz wiary w jednego Boga żadnych innych wierzeń religijnych nie mieli. Wszystko, co za mity religijne słowiańskie uchodzi, są to naloty obce w nadgranicznych pasach, kędy Słowianie z Germanami się stykali. Skoro zaś tak było, nie mogła powstać tragedya, która oznajmia zawsze zachodzące aktualnie przełomy duchowe.

Tak twierdzą badacze, przejęci Schillerowską, idealistyczną teoryą tragedyi. Inni natomiast podnoszą moment obyczajowo-społeczny. Dramat wogóle powstawał tam, gdzie się gromadziły znaczne zbiorowiska ludzkie, na igrzyskach świątecznych w Grecyi, czy podczas obchodów religijnych w średniowieczu. Dramat wymaga zespolonej masy, ulegającej wzruszeniu, jednoczącej się w jednem uczuciu. W Polsce zaś prowadzącej życie ziemiańskie, zjeżdżającej się chyba na sejmy i sejmiki, na których aż nazbyt dramatyczne, lecz innego rodzaju, zachodziły przejścia, nie było tego nieodzownego warunku. Były zadatki liturgicznego dramatu przy nabożeństwach kościelnych Bożego Narodzenia, Passyi, czy Wielkiej Nocy, lecz te skutkiem zakazów władz duchownych zostały stłumione. Teatr ostatecznie ograniczył się do szkoły, gdzie żacy własnego wyrobu utwory produkowali, oraz do dworu, na który niekiedy zjeżdżała na krótszy lub dłuższy pobyt jaka obca włoska, czy angielska, trupa.

Literatury dramatycznej tedy u nas były ledwie zadatki. Były religijne lub polemiczne dyalogi. Była świetna Kochanowskiego „Odprawa posłów greckich", monumentalnie klasyczna i zimna. Były misterya Reja lub tragedye Szymonowicza. Był gdzieś jakiś przekład znakomity, jak Morsztynowy przekład Kornelowego „Cyda". A właśnie w tych czasach na zachodzie była doba najświetniejszego rozkwitu dramatu, za czasów Elżbietańskich w Anglii, czy we Francyi siedmnastowiecznej. Szekspir, Corneille, Racine, Molière — były to świetne nazwiska, ówczesną wyniesione falą. To też, gdy Stanisław August Poniatowski zakłada w Warszawie stały teatr, trzeba było pospiesznie luki zapełniać i z obcych pomocą dramatyczną literaturę stwarzać na prędce. Bohomolec, Wacław Rzewuski, Franciszek Zabłocki, Julian Ursyn Niemcewicz, Wojciech Bogusławski, Dyonizy Kniaźnin, Jan Nepomucen Kamiński — pełnili tę czynność pospieszną. Nic dziwnego, że dzisiaj co krok robi się tryumfalne odkrycie, wykazując, że owe polskie dramatyczne dzieła były po prostu tłómaczeniami. I pracują wówczas równocześnie na rozmaitych polach literatury dramatycznej: uprawia się tragedyę patetyczną, komedyę łobuzerską, salonową, mieszczańską, lub płaczliwą, operę z baletem. Wreszcie Ludwik Kropiński swoją „Ludgardą", Feliński zaś „Barbarą Radziwiłłówną" stworzyć usiłują historyczną tragedyę polską i zyskują uznanie i poklask powszechny.

Było to robione zaiste w sposób naiwny jeszcze. Rozprawiano z powagą całą o teoryi dramatu, o podstawowych pseudoklasycznych trzech jednościach: akcyi, czasu i miejsca, domagano się wzniosłych tematów i osób dostojnych królewskiego rodu. Wszyscy mówić musieli pięknym, rymowanym, potoczystym wierszem, a gdy tragedya łzawa była, nigdzie zaplątać się nie mógł ani cień uśmiechu. Gdy Franciszek Wężyk, człowiek poważny zresztą i cieszący się szacunkiem u rówieśnych, przedłożył Warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk rozprawę konkursową, w której ośmielił się na tradycye dotychczasowe odrobinę nastawać, zasłaniając się Szekspirowym dramatem, nie znalazł u konkursowego sądu uznania. Sam w czasach o wiele późniejszych dopiero ważył się w utworach swych teoryę w życie wprowadzić. Było jednak dążenie do stworzenia polskiego dramatu, było powszechne nim zajęcie. W Warszawie nawet zawiązało się osobne towarzystwo Iksów, omawiające wystawiane w Osińskiego teatrze rzeczy i podające rozważne recenzye przedstawień do pism literackich.

Zrozumiałe jest więc, iż do tej gałęzi produkcyi przedewszystkiem Korzeniowski się zwraca. Od razu wyzwala się od więzów tradycyi. Pisze wprawdzie jeszcze w r. 1826, tragedyę krwawą okrutnie i klasycznie, na greckim micie popularnym osnutą, przedstawiającą losy „Pelopidów". Jest tam wiadomość fałszywa o śmierci króla Pelopsa, o którą zawiązuje się węzeł tragiczny. Jest miłość zazdrosna o synów królowej Hippodamii, lękającej się, by pasierb Chryzyp po ojcu nie zagarnął władzy. Jest miłość jednego z synów, do Europy, narzeczonej Chryzypowi, która węzeł tragiczny zacieśnia. Jest dalej gniew królewski, za prześladowanie Chryzypa, skazujący Atreusa i Tyesta na wygnanie, oraz zemsta bratobójców, dokonana sztyletem. Są uroczyste wreszcie aleksandryny, wybijające takt koturnowemu stąpaniu. Lecz tragedyę tę napisał Korzeniowski jeno z podrażnionej ambicyi, gdy zarzucano, iż romantyczny dramat daleko łatwiej jest napisać, niżeli klasyczną tragedyę. Była ona wystawiona nawet w warszawskim teatrze dwukrotnie 1830 r., lecz Korzeniowski nie uważał za wskazane wydawać ją drukiem. W innych utworach, wcześniejszych nawet, wkroczył już śmiało na rewolucyjną drogę.

Droga ta była co prawda utarta u obcych. Torował ją w Niemczech Lessing i Schiller, we Francyi Diderot, idąc za angielskim przykładem. Nie tylko już dostojne figury kroczyć mogły wspaniale po deskach sceny. Nastawał dramat mieszczański. Stan średni wchodził, uzurpując sobie prawa nie tylko w życiu, lecz i w literaturze. Były to zapowiedzi nadchodzącego przewrotu, rewolucyi wielkiej, która ustalić miała nowy rzeczy porządek.

W powieści Anglik Richardson sięgał do tych środowisk, opisywał uciśnioną, lecz niewzruszoną cnotę w „Pameli" i wieńczył ją pod koniec krzyżem zasługi i koroną szczęścia. Temiż ślady szła komedya „płaczliwa", ocierająca ukradkiem łzy wzruszenia, we Francyi. Lessing, Schiller, Kotzebue, dramatyczne już ujmowali powikłania, zatargi między mieszczką cnotliwą, nie umiejącą przeżyć swej hańby, a gwałtownym księciem namiętnym, korzystającym ze swej przemocy, smutne ofiary uwiedzenia itp. („Emilia Galotti", „Intryga i miłość"). Dziwnie obojętny był ten dramat mieszczański, na recepty potrójnej jedności pozwalał bohaterom mniej górnie, mniej patetycznie dawać uczuciom swym wyraz: używać wiersza białego, a nawet prozy, o zgrozo! Nie powoływał się na honor rycerski, na obowiązki równoważne, które w dwie przeciwne ciągnęły z równą siłą strony, jak było u Corneille'a. Zapodział gdzieś dystyngowany dyg dworski i skrzyżowanie szpady, a ograniczył się do zwyczajnej, powszechnie uznanej, nie potrzebującej się powoływać na żadne ko-

deksy rycerskie, lecz wrodzonej w sercu i w instynktach, etyki mieszczańskiej.

Z takiej atmosfery wyrosły pierwsze dwa dramaty Korzeniowskiego, wydane 1826 r. p. t.: „Próby dramatyczne“ w Poczajowie, lepiej się wtedy zasługującym literaturze, niżeliby późniejsza sława jego przypuścić kazała. „Klara“ z 1820 r. oraz „Aniela“ z 1825, zwróciły w literaturze ówczesnej uwagę na siebie. Wspominał o nich z uznaniem Mickiewicz, marzący również o dramatycznej sztuce, dopytywał się matki o autora „Anieli“ Słowacki, śmiało od początku już kroczący pod sztandarem Szekspira. Wychwalał w 1829 w romantycznym organie kolega szkolny Korzeniowskiego, Stefan Witwicki, w „Edmundzie“ swym zapędzający się w daleko bardziej romantyczne dziedziny.

Dramat uwiedzenia to zatem, kończący się w pierwszym wypadku szczęśliwie, gdy głos krwi, pociąg natury przemówił na widok kilkoletniego synka, spotkanego w lesie. Uwodziciel to nie jest Don Juan, Lowelas rozpustny, dybiący tylko na niewinną cnotę. Natura szlachetna w nim przemaga i hrabia po krótkiej walce z rodowemi przesądami — godzi się na mezalians. W drugim wypadku historya bardziej ponury przybiera koloryt, z hamletycznem niezdecydowaniem, z filozoficznemi refleksyami, z tragicznemi akcesoryami w rodzaju trucizny, grabarzy, klasztoru itp. Niema tu owej pasyi, namiętności krwistej, która właściwa jest historycznym tragedyom Szekspira, jest natomiast rozgrzebywanie myśli, znamionującej Hamleta.

Pod wpływem Szekspira też niezawodnie i owej łuny namiętności ludzkich, która bije z historycznych jego utworów, powstają Korzeniowskiego dramaty historyczne, jak: „Mnich“, „Bitwa pod Mozgawą“, „Dymitr i Marya“, „Piękna kobieta“. W późniejszych dramatach, jak „Piąty akt“, „Dziewczyna i Dama“, „Umarli i żywi“, „Izabella d' Ayamonte“, „Andrzej Batory“ w silnych kontrastach, w sensacyjnych i zaskakujących widza z nienacka sytuacyach, w złośliwości autora, przejawiającej się w ustawianiu i przeciwstawianiu sobie osób, we wprowadzaniu kaprysu, przypadku, maskarady, w dyaboliczności zimnych, nie unoszących się na zewnątrz, a jednak kipiących płomiennym powiewem nienawiści na wskroś bohaterów — widać wpływy ironizującego świat cały, porządek rzeczy, czytelnika, siebie, romantycznego francuskiego teatru. Tyle szkół musiał przejść Korzeniowski, by w „Karpackich góralach“ stworzyć obraz ujmujący swojskością (w przeciwieństwie do dawniejszych, najczęściej obcych i najwidoczniej na zapożyczenie z istniejącego już wzoru wskazujących tematów), wzruszający humanitarną tendencyą, przypominającą z jednej strony rewolucyjnych „Zbójców“ Schillera, z drugiej ludowe powieści Kraszewskiego. Tyle musiał nabywać rozmaitych stylów, by nawrócić znowu, jak w ośmnastym wieku, do „Cyganów“, do cygańskiego etnograficznego sztafażu, z piosenkowością, kolorytem ludowym, baletem, lecz i z romantycznem folgowaniem żądzy, z walką dwu współzawodniczek o kochanka, z trucicielską zemstą oraz samobójstwem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z naszych spraw.

Jubileusz wielkiego kaznodziei ks. Hieronima Kaysiewicza.

Ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin ks. Hieronima Kaysiewicza i ks. Piotra Semenenki, założycilei Polskiego Zgromadzenia ks. ks. Zmartwychwstańców, odbędzie się 7 października rb. uroczystość jubileuszowa w Krakowie. Aby zachęcić jak najszersze warstwy naszego społeczeństwa do wzięcia udziału w uroczystości, rozsyła Komitet obchodowy odezwę, napisaną przez J. E. Stanisława hr. Tarnowskiego, wraz z programem.

* * *

Bolesny jubileusz.

W tym tak obfitym w różnego rodzaju jubileusze roku 1913 obchodzi Wielkopolska jedną z najboleśniejszych swoich rocznic. Jest to przypadająca na 27 października 40 rocznica rozporządzenia naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego, które spowodowało systematyczne usuwanie języka polskiego jako języka wykładowego w szkołach ludowych i stopniowe usuwanie go jako przedmiotu nauki a nawet jako wykładowego w nauce religii.

* * *

Bank handlowy

powstaje w Poznaniu. Potrzebę takiej instytucyi odczuwały od dawna koła handlowo-przemysłowe naszego zaboru. Wypada się cieszyć i wyrazić życzenie, by ta nowa instytucya finansowa kołom interesowanym przyniosła spodziewany pożytek.

* * *

Zjazd kupiecki w Mogilnie.

W zeszłą niedzielę zwołało do Mogilna miejscowe Towarzystwo kupców zjazd okręgowy kupców samodzielnych, głównie celem założenia okręgu dla okolicznych towarzystw. Na zjazd przybyła dość znaczna liczba delegatów przeważnie z okolicy. Przewodniczył p. Wacław Ozdowski z Poznania. Pan T. Bobowski z Poznania, redaktor „Kupca“, wygłosił referat na temat: „Nasz stan kupiecki, czem jest, a czem być powinien“. Adwokat p. Leon Leitgeber mówił „O ściąganiu płatnych pretensyj itp.“. Uchwalono jednomyślnie założyć okręg dla okolicznych towarzystw z siedzibą w Inowrocławiu.

Miejscowi kupcy i delegaci oddali hołd pamięci ś. p. ks. patrona Wawrzyniaka składając na grobie jego wieniec.

* * *

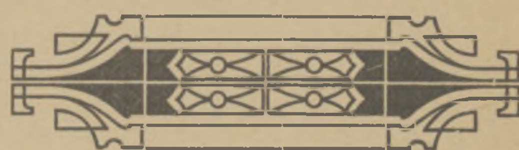
Nowe towarzystwo na obczyźnie.

Nowe towarzystwo i to Tow. Przemysłowe założono w Langendreer na obczyźnie za staraniem p. Poćwiardowskiego. Przystąpiło 14 członków. Do zarządu wybrani zostali przez aklamacyę pp. Sylwester Duszyński jako prezes, St. Lewandowski jako sekretarz, Piotr Poćwiardowski jako skarbnik. Zebrania odbywać się mają w pierwszy poniedziałek w miesiącu. Organem Tow. będzie „Przemysłowiec“.

* * *

Zjazd sokoli w Cieszynie.

Zjazd polskich Sokołów w Cieszynie powiódł się doskonale. Starosta zakazał zjazdu, mimo to zjazd się odbył.



Na widowni.

Jedną z najbardziej nam wrogich partyj niemieckich jest *partya wolnokonserwatywna.* Wystarczy wskazać na głównego jej przywódcę barona Oktawiusza *Zedlitza,* który na każdym kroku, i z trybuny parlamentarnej i na łamach prasy, sobie oddanej, zaciętą prowadzi walkę przeciwko Polakom, domagając się najostrzejszych środków w polityce antypolskiej. W parlamencie na szczęście partya wolnokonserwatywna ma zaledwie kilkunastu przedstawicieli, którzy występują tu pod firmą Partyi Rzeszy, większej roli jednakże nie odgrywają. Natomiast w pruskiej Izbie posłów dzięki niesprawiedliwemu systemowi trójklasowemu rozporządzają wolnokonserwatyści aż 54 głosami i razem z konserwatystami tworzą prawie większość absolutną.

Jakiemi uczuciami frakcya wolnokonserwatywna ożywiona jest wobec Polaków, o tem świadczy jej świeżo wydane sprawozdanie z działalności sejmowej za rok 1912/13. O ile całe sprawozdanie jest trzymane w tonie umiarkowanym, a szczególnie wobec rządu bardzo lojalnym, o tyle wprost wojownicze surmy odzywają się tam, gdzie chodzi o kwestyę polską. Sprawozdanie wolnokonserwatywne zwraca się mianowicie w tem miejscu z ostrą krytyką przeciwko rządowi, zarzucając mu słabość i chwiejność wobec Polaków. Wywłaszczenie czterech majątków polskich nazywają wolnokonserwatyści w swej publikacyi krokiem bojaźliwym (!) i połowicznym, żywo

ubolewają, że rząd zaraz od pierwszego razu energicznie nie zabrał się do wywłaszczenia większych obszarów ziemi. Wolnokonserwatyści są naturalnie także gorącymi zwolennikami antypolskiej ustawy parcelacyjnej, której nie mogą się doczekać. Nie ulega wątpliwości, że skoro tylko rozpoczną się obrady sejmu, wolnokonserwatyści zaczną rząd pchać w kierunku „energicznej“ polityki przeciwpolskiej. Jakie rząd wobec tego zajmie stanowisko, o tem w ciągu sesyi zimowej sejmu niechybnie się dowiemy.

Bez porównania mniejsze znaczenie od sejmu pruskiego ma dla Niemiec sejm wielkiego księstwa *badeńskiego*. A jednak opinia publiczna niemiecka żywo się interesuje wyborami do sejmu tego, zapowiedzianemi na dzień 21. października. Pochodzi to stąd, że w Badenii dokonał się już ów podział stronnictw na dwa wielkie obozy prawicy i lewicy, który w Niemczech wielom wydaje się ideałem przyszłości. Od kilku lat już istnieje w Badenii wielki blok lewicy, obejmujący narodowych liberałów, wolnomyślnych i socyalistów, a przeciwko temu blokowi, który ma większość, walczą konserwatyści i centrum ręka w rękę. Prawica wytęża obecnie wszelkie siły, aby przy nadchodzących wyborach sejmowych kres położyć liberalno-socyalistycznym rządom w Badenii. Z pomocą w agitacyi przedwyborczej pospieszył jej znany konserwatysta przywódców pruskich p. *Heydebrand v. d. Lasa*, który na zebraniu w Karlsruhe wygłosił wielką mowę, nawołując wszystkie żywioły narodowe do wspólnej walki przeciwko przewrotowym dążeniom socyalnej demokracyi. To hasło wydał konserwatywny wódz nietylko dla Badenii, ale i dla całych Niemiec. Chodzi mu głównie o narodowych liberałów, którzy dawniej szli w zasadzie razem z konserwatystami i centrum, a teraz coraz bardziej sterują na lewo. Konserwatyści nie bez słuszności obawiają się, że ów wielki blok lewicy, który już istnieje w Badenii, może i w rzeszy niemieckiej się skrystalizować. Rozwój stosunków partyjnych coraz bardziej ku temu prze. Dlatego p. Heydebrand zawczasu podnosi głos swój ostrzegawczy. Na razie jednak echo jego ginie wśród roznamiętnionych walk i przeciwieństw partyjnych bez wrażenia.

Nikt zapewne bardziej nad tem nie ubolewa jak p. *Bethmann-Hollweg*, który już w interesie silnej i szczęśliwej polityki zagranicznej musi sobie życzyć konsolidacyi wewnętrznej. Dotychczas w polityce tej Niemcy szczęśliwi nie są. Dzięki zręczności swych dyplomatów, Francya i Anglia pierwsze grają skrzypce i na każdym kroku wzmacniają swoje stanowisko międzynarodowe. Francyi udało się do trójprzymierza wciągnąć Hiszpanię, którą Niemcy przez długi czas napróżno usiłowały zwerbować. Jakkolwiek w razie wojny bezpośrednia pomoc wojskowa Hiszpanii nie wiele znaczy dla Francyi, to jednak flota hiszpańska może na Morzu Śródziemnem poważne oddać przysługi, a nadto wojska hiszpańskie mogą zastąpić armię francuską w Maroku, gdyby okazała się potrzeba powołania jej na plac wojny w Europie.

Na razie bezpośredniego niebezpieczeństwa takiej wojny europejskiej nie ma, ale *w kotle bałkańskim* znowu wre i kipi taki war wojenny, że niebezpieczeństwo eksplozyi na całą Europę nie wykluczone. Między Serbami a Albańczykami krew się leje w zażartych walkach. Sztuczna budowa samodzielnego państwa albańskiego chwieje się na wszystkie strony. Równocześnie Bułgarzy zdradzają ochotę wzięcia krwawego odwetu na Serbach, zajętych walką z Albanią, a i między Grecyą a Turcyą stosunki w niebezpieczny sposób się zaostrzają, gdyż Turcya, ośmielona sukcesem swym wobec Bułgaryi, występuje z pretensyami co do wysp Egejskich. Zdaje się, że „kłopoty bałkańskie“ będą jeszcze przez długi czas figurowały w rubryce polityki europejskiej.



Podobizny dworów polskich
w W. Księstwie Poznańskim.

(Ciąg dalszy.)

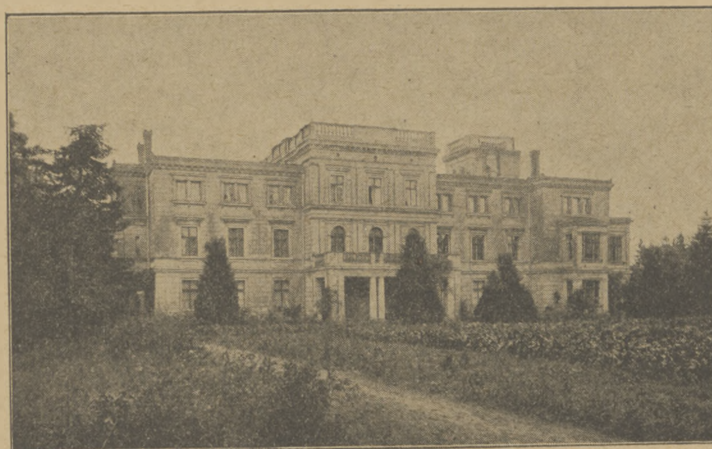
Zamieszczamy w dalszym ciągu dwie podobizny dworów, które są pomniejszonemi reprodukcyami wspaniałych ilustracyj umieszczonych w luksusowem dziele p. L. Durczykiewicza z Czempina p. t. „Dwory polskie w W. Ks. Poznańskiem“. Nakładem p. L. Durczykiewicza, czcionkami drukarni „Pracy“.



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.
Niechłód.

Niechłód, powiat wschowski, od roku 1906 własność Macieja Sicińskiego. Majątek ten był w 14-tym wieku w posiadaniu Golanieckich. Na początku 16-go wieku należał Niechłód do Anieli hrabiny Ponińskiej z Krakowa. Dwór w Niechłodzie budował obecny właściciel według planów budowniczego Zygmunta Wilczewskiego w latach 1907 i 1908.

Wróblewo, powiat szamotulski, własność Zbigniewa hr. Węsiersko - Kwileckiego, ordynata na Wróblewie z przyległościami. W r. 1387 prawuje się Mrokata z Wróblewa z Wojciechem Radwankowskim; w roku 1397 prawuje się z Biezdrowskim, a w r. 1399 z Tomaszem Pożarowskim. W latach 1397—1399 występuje Janusz Januszek z Wróblewa w sprawach z mieszczaninem Wojtkiem i Arkamboldtem z Orla. W tych latach



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.
Wróblewo.



Z pomnika grunwaldzkiego w Krakowie.

Jagiełło na koniu.

DRUKIEM „PRACY“.

[illegible]

[illegible]

jako trzeci występuje Gerward z Wróblewa Wróblewski. Roku 1482 Zbigniew Oleśnicki, arcybiskup gnieźnieński, potwierdził Macieja, plebana z Męki, na wykonawcę ostatniej woli Mikołaja Grądzkiego z Wróblewa. W r. 1580 mieli tam działy: Piotr i Marcin Przesławscy i Marcin Puniński. W roku 1793 Antoni Kwilecki posiada Wróblewo z Głuchowem, Kładziskiem, Pakawiem, Dąbrową i leśnictwo Sanita. Na obszarze Wróblewa znajdowano luźne wykopaliska przedhistoryczne, mianowicie też na wzgórzu pomiędzy Wróblewem a Biezdrowem, które lud nazywa „Chlustaczką". Tu w grobie skrzynkowym znaleziono, między wielu innemi, urnę twarzową, co w Wielkopolsce należy do wielkich rzadkości. Obecny dziedzic Wróblewa posiada wielki zbiór rzadkich wykopalisk przedhistorycznych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Na warszawskim bruku.

(Własna korespondencya „Pracy".)

(Okazały występ techników. — Słówko o typowych wystawach warszawskich.— Syrena nie zawsze jest oznaką płochości. — Znowu klęska żydów. — Jeno, bądź błogosławiona! — Nowe pismo — nowa zaraza postępowa. — Rocznica Korzeniowskiego w teatrach.)

Cokolwiek możnaby zarzucić naszym kołom technicznym, na jedno zgodzić się muszą wszyscy, że jak technicy wezmą jakąś inicyatywę w swoje ręce, to zawsze otrzymamy rzecz skończenie dobrą, efektowną, a pomimo to utrzymaną w odpowiednio poważnym stylu.

Gdy robić, — to już nie na patatajkę! — oto dewiza techników. Gdy raz zdecydowali postawić sobie własną siedzibę, to ufundowali gmach prawdziwie piękny, zbudowany fundamentalnie, urządzony wewnątrz komfortowo, z okazałemi salami, wspaniałemi przedsionkami, marmurowemi schodami, pluszowemi poręczami, tarasami i t. d. i t. d., że tam trochę trudno wygospodarować procenty od zaciągniętych na ten dom pożytek, to już rzecz inna, gmach jest i pozostanie, a gdyby miała nadejść chwila krytyczna, to tylu jest przecież wśród inżynierów naszych ludzi dobrze miennych, że nie dopuszczą do katastrofy.

Technicy tedy przyzwyczaili Warszawę do tego, że gdy występują publicznie, czynią to zawsze z szerokim gestem. Więc nie dziw, iż otwarta w ubiegłą sobotę wieczorem wystawa w byłym „Palais de glace", nosząca nazwę skombinowaną „Światło, ruch, ciepłe", ma właśnie ten gest szreoki i wielkopańskie zacięcie. Gdy się porówna takie parodye ekspozycyjne, jakie ciągle urządzane są jedynie gwoli wyciągnięcia pieniędzy od naiwnej publiczności, w rodzaju „Królestwa mody," lub „kucharskiej," z najnowszą wystawą techniczną, to dopiero się widzi, co można zrobić, gdy się biorą do rzeczy ludzie, mający olej w głowie, zapał w sercu, no! i..... ruble w pugilaresie. Doprawdy, dawno nie mieliśmy na warszawskim bruku tak udatnej i tak pouczającej kolekcyi wszelkich nowości z dziedziny technicznej. Jest czemu się przyjrzeć, warto też nie raz tylko, na odczepne, odwiedzić „Pałac Ludowy," lecz podążać tutaj częściej i rozmaite „standy" oglądać w skupieniu.

Potrzeba to wiedzieć, że niejako specyalnością Warszawy stało się powołać do życia wystawy, których nagłówek w zawzięty sposób kłóci się z treścią. Jeżeli n. p. ogłoszono otwarcie wystawy „rybackiej," to można być pewnym, iż znajdziemy tutaj wszystko, guziki, pierniki, pastę do butów, nawet środki przeczyszczające, jednego tylko zabraknie, a mianowicie... ryb i wszystkich przyrządów, które służą do ich łowienia. Na wystawie „sportowej" dominować będą marmury kieleckie, albo ołtarze, ale roweru lub wiosła szukać przyjdzie bodaj ze świecą. A już utarło się, że bez popisów kabaretowych nie ma i być nie może prawdziwej wystawy. Nasi technicy tę typowo warszawską receptę na urządzanie wystaw podarli na drobne kawałki, a wziąwszy się do dzieła rozumnie i energicznie, dali całość zaokrągloną i niezmiernie interesującą. Popisy kabaretowe zastąpione będą odczytami popularnemi i fachowemi objaśnieniami. Rezultat takich chwalebnych zabiegów można przewidzieć z góry. Przecież Warszawa Syrenę ma w herbie, a jako takie miasto nasze było po wsze czasy i długo będzie — głuche. Prasa, ta płytka, brukowa, oczywiście pochwali wystawę, inaczej zrobić bowiem nie wypada, ale publiczność nie da się skusić na jakieś tam arcy-mądre przynęty. I w kasie panować zaczną pustki, chyba, że inicyatorzy ekspozycyi zwiną chorągiewkę i uderzywszy w pokorę, udadzą się o ratowanie sytuacyi do panny Messalówny, Mrozińskiej, Orleńskiej i innych kapłanek podkasanej muzy. Obym fałszywym był prorokiem, ale niestety! znam ja moją „Warszawkę" aż zanadto dobrze.

Płocha ona jest ta Warszawa, ale kiedy chodzi o rzeczy ważne, kiedy jej uczucia najświętsze ktoś zadraśnie, wtedy od razu inną — i powiedzmy odrazu — piękną przybiera pozę. Najlepszy tego dowód mamy w obecnej, zaciętej walce z wrogiem żydowskim. Takiego solidarnego, a przedewszystkien takiego spokojnego, celowego działania nikt nie byłby się spodziewał poprzednio. Dziś wiadomo każdemu, że wszyscy idą ławą, ręka w rękę, i dzięki temu zwycięstwo prędzej czy później musi być naszą nagrodą za wytrwałość i ponoszone ofiary. Żydzi liczyli do ostatka, że po swojej stronie zdołają utrzymać robotników, których naturalnymi opiekunami być się mienią, ale i ta deska ratunku zawiodła zupełnie. Prawdziwem szczęściem dla narodu naszego okazała się uchwała, która zapadła teraz na zjeździe w Jenie, wieść zaś o hakatyzmie socyalistów niemieckich rozbiegła się w lot po całym kraju, do reszty przerzedzając zastępy ciemnych mas robotniczych, wodzonych dotąd na pasku przez agitatorów i wichrzycieli żydowskich. Na dowód, że nawet u robotników nastąpił zwrot bardzo znamienny, przytoczę fakt, iż redakcya jednego z bardzo niewyraźnych, ale równocześnie najpoczytniejszych pism warszawskich, otrzymała zaopatrzone w 5000 z górą robotniczych podpisów podanie, w którem podpisani żądają wyraźnego określenia, czy redakcya chce iść z narodem przeciw fali żydowskiej, czy też w dalszym ciągu uprawiać zamierza wstrętny oportunizm. Ciekawa rzecz, jak też teraz ustawicznie lawirujący i tem trzymający się na powierzchni wydawcy przełkną tę pigułkę?

Gdyby nawet dzisiaj represyami ze strony władz, co zgoła jest nieprawdopodobne, chciano powstrzymać ruch antisemicki w Królestwie, do dawnego stanu rzeczy społeczeństwo nie powróci już przenigdy. Tego prądu już nikt nie zdoła cofnąć wstecz, śmieszne też są próby publicystów, którzy ciągle jeszcze starają się narzucać się rozdrażnionemu społeczeństwu ze swoim filosemityzmem. Obecnie n. p. opuścił prasę prospekt, zapowiadający ukazywanie się od października nowego pisma dla dzieci i młodzieży. Pismo to skazane jest z góry na śmierć głodową, choć podobno wydawcy rozpoczynają ze znacznym kapitałem i choć zdołali pozyskać do swojej teki nawet prace Żeromskiego, Tetmajera i innych gwiazd na firmamencie beletrystyki polskiej. Gdybyż przynajmniej jako redaktorki tej nowej próby ogłupiania polskich dzieci, tego pisma, które nosić

będzie tytuł „Z blizka i z daleka," prospektu nie były podpisały panie Mortkowiczowa (dlaczego w środku pisze się przez „t," zamiast przez „d?") i Sempołowska!! Wówczas mógłby taki organ przemycić się do polskiego domu i dostać się do rąk naszych milusińskich.

Ale gdy się czyta te dwa nazwiska, to już wiemy, co nas czeka i ze wstrętem odpychamy od siebie nawet prospekt. Chyba nikomu z rodziców polkich nie zależy na tem, ażeby ich małe latorośle od najwcześniejszych lat były „uświadamiane" i ażeby troskliwej mamie odpowiadało bobo sześcioletnie: „Nie mnie blać na bociany!"

W teatrze króluje obecnie Korzeniowski, ten wielki pisarz, któremu za życia piołun tylko podawano w pełnej czarze, a który po półwiekowem oddaleniu przedstawia się nam dzisiaj jako talent o potężnym blasku. Rekord w wystawieniu genialnego dramaturga wziął znów Teatr Polski, tak też wystawić „Wąsy i perukę", jak tam zrobiono, na to nie zdobyłaby się żadna inna scena polska.

Odżyła epoka Stanisławowska, kostiumy, meble, słowem wszystko skopiowano wiernie. A Zelwerowicz, Zieliński i przedewszystkiem magnat w każdym calu — młody Jerzy Leszczyński, syn największego tragika polskiego, grają wprost przewspaniale. Ujrzeć „Wąsy i perukę" na scenie Teatru Polskiego — to uczestniczyć w bogato i z wielkim smakiem zastawionej uczcie.

Włodzimierz Trąmpczyński.



Listy z Wiednia.

(Własna korespondencya „Pracy".)

(Przyszłość Austro-Węgier. — Przyszłość Polaków. — Loterya klasowa. — Kolej podziemna.)

Wojny bałkańskie zakończone, pokoje zawarte, teraz każde państwo liczy swoje zyski i straty, stara się goić rany i urządza się na zdobytych terytoryach. Ale sprawa bałkańska jeszcze nie zakończona i długich jeszcze lat na jej uregulowanie potrzeba.

Francuskie gazety zajmują się teraz żywo przyszłością Bośni, Dalmacyi i Kroacyi. Wszak i te kraje leżą na Bałkanie, a pretensye ma do nich Serbia... — Przed kilku laty burmistrz Wiednia Lueger i jega partya głośno mówili o tem, aby z krajów tych stworzyć państwo południowosłowiańskie pod berłem Habsburgów. Byłby tryalizm austro-węgiersko-słowiański. Na żądanie Węgrów, którzy chcieliby zmadziaryzować Kroacyę gwałtem lub podstępem, przestano o tem mówić i pisać. Ale po wojnie bałkańskiej i rozbiorze Turcyi sprawa ta stała się znowu aktualną. Francuzi, którzy dużo kapitałów swych zaangażowali na Bałkanie, chętnie chcieliby widzieć skonsolidowane tamże stosunki, aby spokojnie pobierać mogli dobre od swych pieniędzy procenta. Jak długo jednak Kroatów maltretować będą Węgrzy, a w Bośni Turcy i Serbowie wysuwani będą na czoło przeciw Kroatom, tak długo spokoju na Bałkanie nie będzie. Ciche wrzenie wybuchnie kiedyś żywiołowym pożarem, a wtenczas trudno będzie je stłumić Węgrom i Austryi. Lepiej więc zawczasu uregulować kwestyę południowo-słowiańską, oswoić się z myślą tryalizmu i wprowadzić go w życie jak najprędzej pomimo opozycyi Węgrów.

Jeszcze jedna sprawa zaprząta umysły polityków Austro-Węgier, patrzących w dal a nie na koniec swego nosa. Oto przed Austryą dwie stoją alternatywy: albo będzie państwem potężnem w Europie, jeżeli urządzi się na wzór Stanów Zjednoczonych w Ameryce, albo padnie ofiarą sąsiadów i zostanie rozebraną jak niegdyś Polska, między Niemcy, Rosyę, Włochy, Rumunię i Serbię. Przyszłość Austryi zależy od ludzi, którzy dziś kierują jej losami. Jeżeli dorośli do zadania, jakie na nich obecna wkłada chwila dziejowa, w takim razie łatwo i prędko stworzyć potrafią państwo federacyjne, dające każdej narodowości wolność i swobodę, jak w Szwajcaryi lub Ameryce. Jeżeli jednak ciasnym kierować się będą szowinizmem, wówczas niedługo czekać będziemy na Nemezis dziejową.

Tą drugą ewentualnością zajmują się często gazety pruskie, pisząc bez obsłonek o rozbiorze Austryi, która przecież zawarła przymierze z Niemcami nie na to, aby ją rozbierali sąsiedzi. Zwróciło to uwagę kół miarodajnych w Wiedniu, które odniosły się w tej sprawie do Berlina, aby nietaktowne postępowanie pewnych gazet ustało. Jeżeli gazety austro-węgierskie zachowują wobec państwa niemieckiego lojalność i kurtoazyę, mają prawo wymagać, aby w taki sam sposób postępowały gazety zaprzyjaźnionego mocarstwa...

Wojna bałkańska i zachowanie się wobec niej państw europejskich, otrzeźwiło podatne do złudzeń wszelakich umysły Polaków. Przekonaliśmy się raz jeszcze, że na żadne państwo liczyć nie można, tylko na siebie samych. Starać się więc trzeba pracą zdobywać jak największy majątek, oświatę i handel. Będąc oświeceni i bogaci, spokojnie patrzeć będziemy w przyszłość, która jest w ręku Boga.

Od jesieni wchodzi w życie w Austryi *loterya klasowa*, dla ludzi bogatszych. Istnieje obok niej jeszcze dalej dla biedaków loterya liczbowa. Kiedy loterya klasowa przyniesie tak wielkie dochody, jak loterya liczbowa, wówczas dopiero ją skasują. Tymczasem mogą się zgrywać do woli bogaci i biedacy! Ponieważ Austrya nie dopuszcza w swe granice loteryi klasowej Niemiec i Węgier, więc naodwrót państwa te wydały zakaz sprzedaży losów austro-węgierskiej loteryi klasowej u siebie. Wojna między przyjaciółmi!

W Wiedniu mamy *kolej podziemną*, która biegnie na przedmieściach łożyskami rzek Wiedenki i Dunaju. Obecnie myślą nad tem, aby zbudować kolej podziemną w śródmieściu, gdzie ulice są ciasne i tramwaju przeprowadzić przez nie nie można. Groza wojenna minęła, więc kapitał francuski szuka przedsiębiorstw, gdzieby mógł znaleźć korzystne oprocentowanie. Przy jego pomocy spodziewa się magistrat miasta stworzyć tanią i wygodną komunikacyę między przedmieściem i śródmieściem. Podziemne roboty wymagają dużo czasu i nakładu pracy, ale jest nadzieja, że stolica Austryi zyska kiedyś nareszcie nowoczesne udogodnienia komunikacyjne.

A.



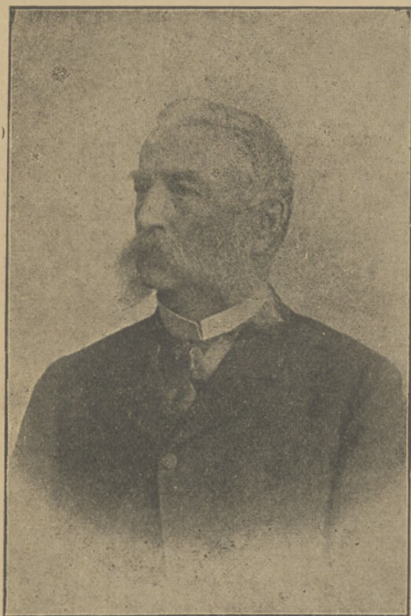
Uczczenie zasług obywatelskich.

Ku uczczeniu zasług obywatelskich Mieczysława hr. Kwileckiego, kończącego 80 rok życia, odbył się dnia 26-go września wieczorem w Bazarze obiad za inicyatywą tych wszystkich instytucyj, w których jubilat albo jest przewodniczącym rady nadzorczej, albo też należy do ich zarządu od lat wielu a mianowicie „Towarzystwa Pomocy Naukowej", „Banku Włościańskiego", „Banku Kwilecki, Potocki i Sp.", „Dziennika Poznańskiego", „Kół polskich" w Berlinie. Ze wszystkich tych instytucyj bardzo liczne grono zebrało się na Białej sali bazarowej.

Pięćdziesięciokilkoletniej pracy obywatelskiej Mieczysława hr. Kwileckiego należało się to uznanie. Nie było bowiem instytucyi, nie było Towarzystwa poważniejszego w naszej dzielnicy, do któregoby jubilat nie należał, nie było myśli szlachtnej, którejby nie popierał. O godności, zaszczyty, przewodnie stanowiska nie dobijał się nigdy, a na te urzędy, które w towarzystwach piastował, wyniosło go ogólne zaufanie, ogólny szacunek i ogólna powiedzmy

miłość, którą się pośród społeczeństwa cieszył. Dla spraw publicznych hojną bardzo miał zawsze rękę a z wielkim rozumem zapatrując się na rozwój naszego społeczeństwa, pracy swej nie ograniczał na pole rolnictwa, na którem majątki swe ziemskie doprowadził do pierwszorzędnej kultury — ale działalność swoją przeniósł i na pole handlowe, w tych już czasach, kiedy nikt prawie o tem jeszcze nie pomyślał. Stworzenie i rozwój banku przemysłowo-rolniczego, istniejącego pod firmą „Kwilecki Potocki i Sp." to jego zasługa; w krytycznych chwilach ekonomicznych, które przechodziliśmy, umiał go podtrzymać aż nie rozrósł się do dzisiejszych rozmiarów, i nie stanął na silnych i niewzruszonych podwalinach.

A że i we wszystkich innych instytucyach, którym przewodniczył, hasłem jego było zawsze „salus rei publicae suprema lex" — rozwijały się wszystkie one jak najświetniej.

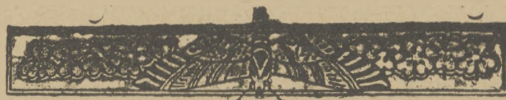


Mieczysław hr. Kwilecki.

Dziwić się nie można, że w celu uczczenia męża takiej miary, stawiło się bardzo liczne grono obywateli nie tylko wiejskich, ale mianowicie i miejskich, aby uczcić zasłużoną przeszłość, życzyć sił i zdrowia dla przyszłej pracy, której się jubilat mimo podeszłego wieku nie wyrzekł.

Szereg toastów rozpoczął p. radca dr. Zielewicz, po nim przemawiał p. dr. Zygmunt Szułdrzyński, najstarszy kolega w pracy społecznej, następnie p. dr. Hącia, poczem jubilat z młodzieńczą werwą za serdeczne życzenia dziękował, zaznaczając, że zaszczycony honorowemi stanowiskami, o które się nigdy nie dobijał, starał się całemi siłami złączone z niemi obowiązki dopełnić, mając zawsze na oku wyłącznie tylko dobro społeczne. W końcu przemówił jeszcze prezes Centralnego Towarzystwa Gospodarczego, p. szambelan dr. Jackowski wznosząc toast „Kochajmy się" czego najlepszy przykład dał nam całem swem życiem Mieczysław hr. Kwilecki.

W podniosłym nastroju uczta przeciągnęła się do późnego wieczoru.



Podobizny uczestników

powstania styczniowego.

Zamieszczamy dzisiaj w dalszym ciągu podobiznę uczestnika powstania styczniowego p. Władysława Dołęgi Cieszkowskiego, syna Józefa, sławnego inżyniera-górnika, naczelnika kopalń okręgu zachodniego, i Ksawery Jastrzębiec Grabowskiej, w mundurze powstańca. Pan Władysław Dołęga Cieszkowski mieszka w Paryżu od wielu lat jako emigrant. Sędziwy Jubilat jest wielkim przyjacielem „Pracy," którą abonuje od początku istnienia; jego też życzliwości zawdzięczamy wiele rycin zamieszczonych w „Pracy," ostatnio w czerwcu r. b. przysłał nam fotografię, przedstawiającą grupę żołnierzy -jubilatów z 1863-go r. mieszkających w Paryżu, którzy wzięli udział w uczcie danej na ich cześć dnia 19-go stycznia r. b. w salach restauracyi Véfour w Palais Royal staraniem paryskiego Komitetu organizacyjnego polskiego. (Patrz rycinę albumową zamieszczoną w numerze 21-ym „Pracy," oraz korespondencyę z Paryża w tymże numerze na stronie 650-ej.



Władysław Dołęga Cieszkowski.

Podobiznę zawdzięczamy życzliwości p. Grabowskiego ze Zbietki.



Johnson Yonny: „Mąż z loteryi".

Z niemałem zainteresowaniem śledziła publiczność przebieg wystawionej zeszłej soboty farsy — tym razem nie francuskiej, nie niemieckiej, lecz amerykańskiej proweniencyi.

Już sam pomysł farsy jest iście amerykański. Amerykański z niej tchnie humor, tu i owdzie łzawiący sentymentalną dygresyą. Dowcip, charaktery działających osób, cała atmosfera wiejąca z tej wielce nieprawdopodobnej, lecz niemniej zabawnej sztuki, wszystko to pachnie specyficzną wonią odmiennej od europejskiej umysłowości amerykańskiej.

W sztuce tej pokazuje nam autor zabawne dzieje młodego, za sensacyą, a także za dolarem uganiającego się dziennikarza, który własną osobę puściwszy na loteryę, dostaje się tytułem wygranej w ręce starej i brzydkiej i narwanej pannicy, a zakochawszy się nim los wyszedł w pięknej kuzynce swego przyjaciela, wszelkich dokłada starań, by szczęśliwą właścicielkę wielkiego losu nakłonić do zrzeczenia się swych praw. Cała awantura kończy się dla nieopatrznego młodzieńca nareszcie szczęśliwie, lecz w sposób nie bardzo pomyślnie świadczący o zręczności autora. Pokazuje się bowiem, że wielki los nieprawnie znalazł się w rękach wygrywającej, a prawa jego właścicielka, służąca zakochana w lokaju, żadnych nie rości pretensyj do ręki niefortunnego dziennikarza, tylko do połowy sumy, którą loterya przyniosła. Sytuacya zatem wprost rozpaczliwa przed chwilą, dzięki przypadkowi w oka mgnieniu się klaruje. Stara panna widzi się zmuszoną wypuścić swą ofiarę z obliga i połączeniu się dziennikarza z ukochaną żadne już nie przeciwstawiają się trudności.

Przedstawienie samo pod każdym względem zasługiwało na uznanie. Wszystkie role bardzo dobrych znalazły przedstawicieli. Rolę tytułową objął p. Rodmund stwarzając postać żywą, pełną werwy i temperamentu. To samo należy powiedzieć o grze p. Mierzejewskiego w roli Freda. Z pań na pierwszy plan wysunęła się p. Modrzewska w efektownej i sympatycznej roli zarówno pięknej jak szczęśliwej Heleny, cyzelując nader subtelnie typ uroczej i rasowej dziewczyny amerykańskiej. Duże powodzenie miała p. Janikowska jako Lizzie. Role dwóch matek u pp. Górskiej i Dąbrowskiej w dobrych były rękach. Również p. Czajkowska z niewielkiej swej roli wywiązała się szczęśliwie.



1. 2. 3. 4. 5. 6.

Fot. J. Stolski w Poznaniu.

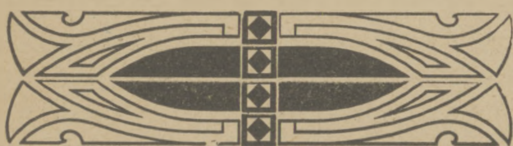
Madama Butterfly.
Scena z aktu pierwszego.

1. Scharpless p. Kopczyński. 2. Pinkerton p. Malawski. 3. Goro p. Radwan. 4. Bonza p. Munclinger. 5. Suzuki p. Janowska. 6. Madama Butterfly p. Steffel-Hayekowa.

(Patrz „Z teatru" w zeszłym numerze „Pracy".)

Publiczność zebrała się licznie i bawiła się na przedstawieniu wybornie.

R.



Nasze ryciny.

Legenda o podkowie.

Piękne rycina pod powyższym tytułem, której reprodukcyę zamieszczamy dzisiaj na rycinie albumowej, przedstawia nam chwilę, kiedy Chrystus Pan wraz z uczniami swymi szedł w dniu skwarnym drogą piaszczystą. Pragnienie piekło mu usta. Nigdzie wody nie było. Wśród drogi leżała złamana podkowa. Zbawiciel odezwał się do Piotra, apostoła, aby podniósł ten kawałek żelaza, lecz Piotr nie uczynił tego, sądząc, że nie opłaci się nachylać po taką drobnostkę. Chrystus więc podniósł niepostrzeżenie ową podkowę i wśród drogi sprzedał ją u kowala za grosz, a za pieniążek ten kupił soczystych wisien. Gdy szli dalej wśród upału, upuszczał Pan Jezus trzy razy po jednej wiśni. Piotr chciwie je podnosił. Wtedy Chrystus powiedział mu: „Gdybyś się był po podkowę raz nachylił, nie potrzebowałbyś się był schylać po wiśnie trzy razy".

O tej legendzie wspominają nie tylko nasi sławni pisarze, opisuje ją także największy poeta niemieckie Goethe pod powyższym tytułem, a znakomity nasz pisarz A. E. Odyniec poświęcił jej następujący piękny wiersz:

Trzy wiśnie.

Onego czasu, gdy z uczniami swymi
Zbawiciel świata obcował na ziemi,
Idąc raz z nimi i tocząc rozmowę,
Ujrzał na drodze złamaną podkowę.
Rzekł więc jednemu: „Podnieś!" Lecz ten w sobie
Pomyślał: „Co ja z tem żelastwem zrobię?
Niewarto trudu!" — i do towarzyszy
Zwróciwszy oczy, udał, że nie słyszy.
Mistrz się uśmiechnął, bo właśnie w tę porę
Wykładał świętą, prawdziwą pokorę,
Lecz nie rzekł słowa i — gdy ci mijali —
Sam się nachylił i podniósł. — Szli dalej.
Przy drodze stała kuźnia. Mistrz wszedł do niej
I ukazując podkowę na dłoni
Rzekł do kowala: „daj, wiele chcesz za to?"
Dał grosz. Szli dalej. A było to lato
I skwar. Spotkali niewiastę; szła z koszem
Wiśni do miasta. Mistrz zaszedł jej z groszem:
„Wiele za niego?" Dała trzy jagody. —
Szli dalej. — Kraj był piaszczysty, bez wody;
Skwar wzrastał. Wtem Mistrz, niby nieumyślnie,
Przed owym uczniem rzucił jedną wiśnię.
Ten zgiął się po nią, podniósł, zjadł. — Szli dalej.
A skwar się wzmaga, a pragnienie pali.
Mistrz o pokorze wciąż wiodąc rzecz długą,
Znów jak z przypadku, rzucił wiśnię drugą;
Uczeń znów zgiął się, podniósł i pomału
Ssał w ustach, tłumiąc zasuchę upału.
Szli dalej. Aż Mistrz znów jak przez przygodę
Otrząsł z łodyżki ostatnią jagodę;
Potoczyła się i zagrzebła w piasku.
Uczeń poskoczył, ale że po blasku
Dojrzeć jej nie mógł, jął macać rękoma,
I niecierpliwy czuł jak go oskoma
Bierze. Lecz znalazł, otarł i z pośpiechem
Już miał do ust swych włożyć, gdy z uśmiechem
Mistrz się obrócił ku niemu i rzecze:
„Nieprawdaż? smaczne wiśnie, gdy skwar piecze;
Lecz wspominając, com rzekł o pokorze,
To sobie także będziesz przypominał:
Że po podkowę raz zgiąwszy się w porze,
Trzykroć po wiśnie nie byłbyś się schylał."



Turniej czesania damskiego.

Jak rokrocznie tak i w roku bieżącym otworzyło Towarzystwo fryzyerów polskich w Berlinie dnie 15-go z. m. szkołę zawodową czesania damskiego, połączoną z premiowaniem trzech najlepszych fryzur. Nagrody ofiarował p. Cygański z kolonii tutejszej; pierwszą otrzymał p. Budziński, drugą p. St. Witkowski, trzecią p. Kolendowicz. Obraz zamieszczony przedstawia wykonanie fryzury na wieczorku demonstracyjnym dnia 22-go sierpnia r. b.

Celem Towarzystwa, które już przeszło 10 lat istnieje, jest przedewszystkiem kształcenie się w rozmaitych gałęziach zawodu fryzyerskiego, oraz łączność rodaków na obczyźnie. Dając wszystkim sposobność przebywania w gronie naszem, chcemy przedewszystkiem zapobiedz zgermanizowaniu się.

Zwracamy uwagę rodakom naszym w Berlinie na nasze Towarzystwo.

Posiedzenia odbywają się w zimowem półroczu w pierwszą niedzielę po 1-szym w lokalu p. Goździewicza przy Andréasstr. nr. 3. Lekcye zawodowe 2 razy w tygodniu i to we wtorki i czwartki; ogólne demonstracye w piątek po 15-tym każdego miesiąca. Korespondencye prosimy nadsyłać na ręce prezesa St. Iwańskiego, Berlin C. Karlstr. nr. 13.

Zarząd.



Turniej czesania damskiego, urządzony przez fryzyerów polskich w Berlinie dnia 22-go sierpnia r. b.

KRONIKA.

— **Telegramy narodowe.** Myśl wysyłania powinszowań i kondolencyj (wyrazów współczucia) przez telegramy narodowe zamiast przez telegramy pocztowe, rozpowszechniła się w naszem społeczeństwie dosyć znacznie. Nasi księgarze sprzedają telegramy narodowe setkami rocznie, nawet tysiącami, a przy opisach uczt weselnych nie rzadko czytamy: nadesłano setkę, albo więcej telegramów, przeważnie narodowych.

Zdawałoby się, że stąd znaczne sumy płyną na cele społeczne. Czy tak jednak w rzeczywistości jest? Niestety nie! Bo takie telegramy wydają nie tylko rozmaite instytucye społeczne i komitety — nie wchodzę w to, czy prawnie lub nieprawnie — ale osoby prywatne, a nawet, jak swego czasu udowodniono, obcy dla osobistego zysku.

W kupowaniu telegramów narodowych zaleca się zatem wielką ostrożność. Aby zapobiedz takim nadużyciom, uchwalono przed dwoma laty na sejmiku oświatowym w Poznaniu, aby wydawnictwem telegramów narodowych zajęło się **Towarzystwo Czytelni Ludowych w Poznaniu,** przeznaczając zyski na cele oświatowe. Cel społeczny to **najogólniejszy i najpotrzebniejszy.** Towarzystwo Czytelni Ludowych wydało też kilka takich telegramów, z których każdy zaopatrzony jest w firmę tegoż towarzystwa.

Powinniśmy zatem kupować przedewszystkiem telegramy narodowe Towarzystwa Czytelni Ludowych.

Ktoby nadto rozpowszechnieniem tych telegramów chciał się zająć, niech się zgłosi: Czytelnia Ludowa, Poznań — Posen Schützenstr. 31.

Zarząd Główny Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu.

— **Zwracamy uwagę** Szanownych Czytelników na biuro prawnicze i hipoteczne p. J. Wolniewicza w Poznaniu, przy ulicy Jezuickiej nr. 11. Pan Wolniewicz jest byłym sekretarzem adwokackim, a prócz tego pracował długie lata w biurach urzędowych. Pan Wolniewicz może się odwołać na liczne polecenia z przeprowadzonych spraw, mianowicie z regulowania hipotek i zaciągania pożyczek na grunta.

— **Związek kupców detalistów branży włóknistej.** Dnia 25-go września 1913 został w Poznaniu założony Związek kupców detalistów branży włóknistej. Zebranie zwołał p. Józef Morgenstern z Berlina w obecności 17 kupców z różnych miast Księstwa. Zebraniu na życzenie przewodniczył p. Władysław Berkan z Berlina, który do pióra powołał p. A. Gustowskiego z Poznania.

Pan Morgenstern w dłuższym referacie podał powody założenia takiego Związku i jego korzyści dla kupców. Po obszernej dyskusyi, w której głos zabierali prawie wszyscy obecni, uchwalono założenie Związku, do którego też zaraz przystąpiło 13 obecnych, a 4 z prowincyi nadesłało swoje przystąpienie piśmienne. Siedzibą Związku jest Poznań, celem wspólny zakup, wzajemne popieranie się przez wskazywanie dobrych firm i przez przestrzeganie przed nierzetelnemi firmami. Składka wynosi 30,— mrk. rocznie, wstępne 10,— marek.

Zaznaczyć wypada, że podobny Związek pod firmą „Związek wspólnych zakupów na Prusy Zachodnie" istnieje już od kilku lat w Prusach Zachodnich. Wszelkiemi bliższemi informacyami służy p. T. Szulc, ul. Podgórna 2. (Bergstrasse 2. b.)

Nowemu Związkowi „Szczęść Boże."

— **Rzeźby Meuniera** w bronzie stanowią na wystawie Towarzystwa Przyj. sztuk pięknych przy ul. Bismarka 8. swoją potęgą talentu twórczego moment niezwykły, przykuwający uwagę obserwatora siłą nieprzepartą. Tej sile przykuwającej ulega każdy, kto wystawę zwiedza. Wrażenie podnosi starannie rozmieszczenie dzieł wielkiego artysty.

Wystawa zasługuje i pozatem na baczną uwagę miłośników sztuki. W drugiej części świetlicy umieszczono kilkadziesiąt płaskorzeźb Gruberskiego. Resztę zaś lokalu zajmują obrazy Korzeniewskiego, Kuglera i Rotnickiego. Całość ożywiają barwne kilimy według wzorów Wyspiańskiego, Skoczylasa, Skotnickiego i Tretera.

Wstępne na wystawę nie podwyższone, a mianowicie dla niecztonków 50 fen., dla młodzieży 25 fen. Wystawa otwarta w niedziele od kwadrans na 12-tej do 4-tej, w dni powszednie od 10-tej do 5-tej.

— **Gorąca prośba o pomoc dla pogorzelców wsi Świńca pod Krzywiniem.** Krótko przed ciężką nawałnicą, jaka w ubiegłą środę szalała nad tutejszą okolicą, powstał w niewytłomaczony dotąd sposób we wsi Świńcu pobliskiej Krzywinia pożar, który 14 zabudowań gospodarczych doszczętnie zniszczył. Wszystkie budynki będące pod słomą, należały do drobnych gospodarzy, z których wielu za ciężko zapracowany grosz na obczyźnie niedawno się tu okupiło. Całe tegoroczne żniwa, sprzęty gospodarcze, pasza, zniszczone i nie pozostało nawet ziarna na zasiewy. Wszyscy z wyjątkiem jednego byli zabezpieczeni, lecz z powodu lichych budynków krytych słomą, bardzo nisko.

Wobec ogromu nieszczęścia tego nie są współmieszkańcy wsi wraz z parafianami krzywińskimi w stanie, biednym pogorzelcom dostatecznie przyjść w pomoc, by się mogli odbudować, dlatego zwracają się niniejszą odezwą do miłosiernych serc społeczeństwa z prośbą serdeczną o pomoc, wdzięczni za ofiarę choćby najdrobniejszą.

Krzywiń, 7-go września 1913.

W imieniu komitetu.

Ks. Nawrocki, proboszcz.

Ofiary, których odebranie w gazetach poświadczać będę, proszę uprzejmie przesyłać pod adresem: Ks. Nawrocki, Krzywiń — Kriewen.

Wielebnych Ks. ks. Konfratrów proszę serdecznie o urządzenie ewentualnie składki w kościele.

— **Drezno.** W niedzielę dnia 5-go października r. b. rano o godzinie 10-tej odbędzie się w kościele zamkowym przy ołtarzu św. Ignacego na intencyą czterdziestej czwartej rocznicy założenia Towarzystwa Msza św., na którą Sz. Rodaków przebywających w Dreźnie lub okolicy jak najuprzejmiej zapraszamy. Wieczorem punktualnie o godzinie 8-mej tegoż dnia odbędzie się w sali **Kronprinz Rudolph, Schreibergasse 12,** uroczystość, po której nastąpi zabawa taneczna.

Zwracając uwagę na obfity program pozwalamy sobie Sz. Ziomków prosić uprzejmie o liczny współudział i łaskawą punktualność.

W imieniu Towarzystwa Przemysłowców
I. F. I. Komendziński.

— **Odezwa.** Od niepamiętnych czasów, a szczególniej po rozbiorze Polski stolica Saksonii stała się głównym etapem i schroniskiem licznego wychodźtwa polskiego.

Tu przebywał Tadeusz Kościuszko, Książe Józef Poniatowski, Julian Niemcewicz, Adam Mickiewicz, Kazimierz Brodziński, Zygmunt Krasiński, Juliusz Słowacki, Wincenty Pol, Teofil Lenartowicz, Klementyna Hoffmanowa z Tańskich, Fryderyk Chopin, Joachim Lelewel, Franciszek Dobrowolski, hr. Wawrzyniec Engestroem i wielu wielu wybitnie zasłużonych. Tu mieszkał i pracował przez długie lata od roku 1864 do 1884 Józef Ignacy Kraszewski.

Wszystko to przeszło jak sen, a pozostałe tylko liczne groby na starym cmentarzu kotolickim świadczą wymownie o licznej ówczesnej kolonii polskiej, zmuszonej przeważnie po smutnych wypadkach w roku 1831, następnie 1863, szukać schronienia w ówczas spokojnej, a sympatycznej stolicy Wettinów.

Dziś czasy się zmieniły. Ongi ciche i spokojne miasto napływem przeważnie obcego żywiołu dawny charakter swój zmieniło, nie pozbywając się jednakże byłego etapu dla wychodźtwa polskiego, z tą tylko różnicą, że ongi wybitnie zasłużeni zmuszeni byli kraj swój opuszczać, aby swe życie i mienie ratować, dziś przeważnie dobrowolna wędrówka i pogoń za lepszym zarobkiem wabi tysiące wychodźtwa na obczyznę, narażając niejednego na ciężki zawód, nędzę i głód, a w końcu wynarodowienie.

Aby choć w części złemu zaradzić, postanowiło Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Dreźnie już w roku 1885 za zezwoleniem władzy miejscowej, utworzyć stałą kasę wspomogi, przejmując tym sposobem opiekę nad przechodniami polskimi.

Nieestety wskutek coraz więcej wzmagającego się wychodźtwa (nie ma bowiem dnia, ażeby ktoś z Polaków potrzebujących pomocy o wsparcie się nie zgłosił), fundusze nasze, jakie od serc ofiarnych na ten cel otrzymujemy, nie starczą.

Wobec takiego położenia postanowiliśmy z okazyi każdej rocznicy Towarzystwa odnieść się do serc szlachetnych, licząc na wrodzone współczucie Szanownych Współrodaków, że podjęte zadanie nasze tak słowem, jak czynem poprzeć raczą.

Wszelkie odnośne listy lub przekazy prosimy w danym razie przesłać na ręce Towarzystwa.

Pokwitowania wszelkich datków będą w pismach publicznych ogłoszone.

W imieniu Towarzystwa Przemysłowców
I. F. Komendziński.

Nekrologia.

† **Ś. p. Marya Żychlińska,** wdowa po literacie Teodorze Żychlińskim, dnia 22-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Władysława Plawens,** 19 lat, dnia 22-go z. m. w Ugodzie. — **Ś. p. Prakseda z Markietów Szałkowska,** dnia 23-go z. m. w Gnieźnie. — **Ś. p. Kazimierz Schmidt,** dnia 23-go z. m. w Poznaniu, w 22-gim roku życia. — **Ś. p. Marceli Bartkowski,** 76 lat, dnia 22-go z. m. w Bydgoszczy. — **Ś. p. Jadwiga Kucikówna,** 19 lat, dnia 22-go z. m. w Inowrocławiu. — **Ś. p. Wincentyna z Prądzyńskich Tomaszkiewiczowa,** 74 lata, dnia 23-go z. m. w Studzińcu. — **Ś. p. Antonina z Ośmiałowskich I. voto Żelichowska, II. voto Szwaba** dnia 24-go z. m. w Białężynie. — **Ś. p. Teofil Weber,** 72 lata, dnia 24-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Józefa z Zysów Ratajczak,** dnia 26-go z. m. w Poznaniu, w 56-tym roku życia. — **Ś. p. Franciszka z**

Smolińskich Liedke, dnia 26-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 65. — Ś. p. Mieczysław Nowacki, dnia 28-go z. m. w Liebenwalde pod Berlinem, przeżywszy 28 lat. Pogrzeb odbył się we Wrześni dnia 30-go z. m — Ś. p. Walery Krauze, długoletni zarządzca majętności nakelskiej, dnia 26-go z. m. w Karlsbadzie. — Ś. p. Helena Chojnacka, dnia 27-go z. m. w Poznaniu. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Antoniemu S. w Berlinie.** — Numera życzone już wyczerpane, ale na temat wiadomy zamieścimy artykuł, więc prosimy o cierpliwość.

— **Panu Andrzejowi W. w J.** — Nie ma mniejszego formatu. Obraz jest nieoprawiony.

— **Panu Michałowi S. na obczyźnie.** — Dziękujemy serdecznie za słowa uznania dla „Pracy."

— **Pani Maryi K. w Berlinie.** — Powieść życzona już zupełnie wyczerpana od lat wielu.

— **Przyjacielowi.** — Za życzenia serdecznie dziękujemy. Staraniem naszem było, jest i będzie zawsze wiernie służyć sprawie oświaty, w której przyszłość nasza.

Nowe książki i treść pism.

Książę Józef Poniatowski. Zbliża się setna rocznica, którą nietylko jeden stan narodu święcić będzie uroczyście. Popularny zwycięzca z pod Raszyna żyje w sercu każdego rodaka, więc też wszędzie, gdzie dźwięk polskiego słowa rozbrzmiewa, wszędzie sławić będziemy pamięć tego bohatera bez trwogi. Głównem ogniskiem uroczystości będzie Kraków i krypta królewska, grób tego „króla choć bez korony." Nie każdemu danem będzie uczestniczenie w tych uroczystościach, każdy z nas jednak inaczej spełnić winien powinność swoję względem tego „Polaka bez skazy." Każda rodzina poszczególna, czy zbiorowa, każde stowarzyszenie mniej lub więcej liczne pamiątkę bohaterskiego zgonu księcia Józefa święcić będzie ku podniesieniu ducha ojczystego.

Któż nas do tych obchodów przygotuje lepiej, niż autor doskonałego dzieła, pierwszej o księciu Józefie polskiej monografii? Szymon Askenazy, twórca całej szkoły młodszych naszych badaczy historyi, właśnie tą książką swoją o Poniatowskim niezaprzeczenie zasłużył i na wdzięczność miłośników dziejopisarstwa naszego i na poczytność u ogółu.

Pierwsza to u nas książka o księciu Józefie na setną rocznicę chwały oręża naszego w nowej ozdobnej ukazuje się szacie. I barwa jej i szlachetna ozdoba w postaci podobizn cennych sztychów, po części i z prywatnych zbiorów uzyskanych, doskonale harmonizują i z podnosłością treści i z wykwintem stylu.

Z przyjemnością odnajdujemy w niej ryciny dwóch portretów księcia, zdobiących galeryę Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Przed kartą tytułową widnieją piękne regularne rysy wodza z roku śmierci; na mundurze polskim ponad napoleońską legią honorową błyszczy gwiazda naszego „virtuti militari."

Mnóstwo innych podobizn obrazów czy sztychów odtwarza nam pamięć księcia Józefa i osobistości, z któremi książę się stykał, nie pominąwszy władzców rozbiorczych czy ich ministrów. Karykatury, plany bitew, wykazy siły zbrojnej uzupełniają to nowe trzecie wydanie, dokonane na pięknym kredowym papierze krojem czcionek bardzo czystych i czytelnych.

Książka wydana przez „Wielkopolską Księgarnię Nakładową" Karola Rzepeckiego w Poznaniu jest do nabycia w każdej polskiej księgarni bądź to na raty miesięczne, bądź też z gotówkowym rabatem.

Książka ta znaleźć się powinna w każdym polskim patryotycznym domu.

— **X. Lic. Choiński.** „Błędna i zgubna polityka Polski od Kaźmierza W. (1370 †) do dziś dnia." Poznań, 1913 u Bernarda Milskiego. Cena książki 1,50 mrk.

Reklamy.



Zrękowiny.

Zrękowiny.

Przed Kubową,
Poprzed chatą —
Dziwnie strojno
I bogato!
Ściany zdobne w modre centki —
W oknach róże i nagiętki —
Sień pełniuśka tataraku,
Wymieciona po cielaku —
Izba z nowa pobielana
I podłoga szorowana!
A na progu Maryś stoi —
Warkocz plecie — wyjść się boi...
Jeno ku wsi
Chyłkiem zerka —
Jak kot, gdy mu
Pachnie szperka!

Przed Kubową,
Przed chałupą
Przystanęli
Ludzie kupą —
Przystanęli nie na gadki!
Bo w pośrodku swaty, swatki!
Bo na przedziu wiejski grajek —
Bo w koszyku kopa jajek!
I flaszczyny są z siwuchą!
I kogutek pod pazuchą —
Cały lśniący — grzebieniasty,
Jak na „wywód" dla niewiasty!
Ani chybi!
Widzi mi się —
Zrękowiny
Do Marysie!

„Dudu!... dudu!"
Smyk po basach...
Stanął Kuba
Przy balasach,
Jak na święto wygolony...
„Niechże będzie pochwalony!
„Witajcież mi, moi ludzie!
„Szczerem sercem! nie w obłudzie!
„Komu wola i ochota!"
Rzekł — uchylił przednie wrota —
I z pokłonem prosi do się
Swatów, swachy i kumosie!
A tak mu coś
Patrzy z miny,
Że rad widzi
Zrękowiny!

„Dudu — dudu!"
Bas z skrzypcami...
Idą ludy
Za ludami!
Pełno w sieni i na przyźbie!
Nie pomieścić w jednej izbie!
Gwarno, rojno, jak w pasiece...
A najstarsza swatka rzece,
Co pedała jej kumoszka,
Że u Kuby jest jałoszka!
Jałowiczka swego chowu,
Przez przygany, przez narowu!
„Właśnie wiedziem
„Kupca do niej —
Pieniążkami
„W trzosie dzwoni!"

Na dowścipną,
Na przemowę —
Podrapał się
Kuba w głowę —
Chciał się z razu potargować,
By popóźniej nie żałować —
Ale swacha uprzedziła!...
Gorzałeczki doń przepiła!...
„Życzcież nam jej, gospodarzu!
„Po Bożemu, przy ołtarzu!
„Nie poskąpim piwa, jadła!
„By z ambony rychlej spadła!
„Życzcież nam jej,
„Ojcze! matko!
„Aby kupno
„Poszło gładko!"

Spojrzał Kuba
Na Kubową...
— „Jakże, matka?
„Rzeknij słowo!"
A Kubina do komina
Woła: — „Kajżeś ty, Maryna?"
A z Marysie z za przypiecka
Jeno buty, jeno kiecka!
Próżno swacha prosi, łechce, —
Wlazła w kątek i wyjść nie chce!
I choć jej się śmieją oczy,
Niby źli się, niby boczy...
Niby broni
Się i spiera!

A za Jankiem
Wciąż spoziera!

Grają skrzypki
Z mazowiecka...
Przypadł Janek
Do przypiecka —
Jak podważy pod Marysię!
A Maryśka nie broni się...
Idzie z Jankiem, jako trusia!
Do matuli! do tatusia!
Idzie sama, samowita —
Za kolana ojców chwyta —
Przyklękają obydwoje...
Kuba szepce: — „Dzieci moje!"
A Kubina
Oczy duchem —
Dla zwyczaju —
Trze fartuchem!

Grają skrzypki
Z mazowiecka...
— „Nie ukrzywdzę
„Swego dziecka!
„Nie pojmiesz jej samej z chaty:
„Weźmie krowę, weźmie szmaty,
„Dwa stajonka — przed rejentem,
„Wymierzone nowym prętem,
„Dam jej setne dwa prosiaki,
„Babski statek dam wszelaki,
„Matka zładzi wam do ślubu
„Pierza z nowego podskubu...
„I wesele
‚Takie sprawię!
„Że je głosić
„Choć w Warszawie!"

El. (Kazimierz Laskowski.)



BABIE LATO.

„Wdowią zasłoną natury" zowią poeci owe białe, lśniące niteczki, unoszące się zwolna w blasku słońca i czepiające się gałęzi i liści krzewów i drzew. W niektórych okolicach nazywa je lud przędzą Matki Bożej, profani zaś — babiem latem, czyli zwiastunkami jesieni. Bo chociaż niebo w najpiękniejszym jaśnieje lazurze, chociaż słońce grzeje tak, jak gdyby lato jeszcze było, to białe niteczki tę nieomylną przynoszą nam pewność, że lato skończyło się i że jesień nadchodzi.

Że ptaki wędrowne opuściły nas, na to nie każdy zwraca uwagę, ale babie lato widzi każdy i ludzie cieszą się, gdy na nich białe nici spadną, istnieje bowiem przesąd, że przynoszą dużo szczęścia.

W dawnych czasach uważano je przecież za coś złego — tak, jak wszystko, czego sobie wytłomaczyć nie umiano. Nikt nie wiedział, zkąd się nici te brały i z czego pochodziły — poganie zaś twierdzili, że przędą je Norny, najzaciętsze nieprzyjaciółki ludzi szczęśliwych, że jednak przędły je owe trzy dziewice, przeto nazwano porę roku, w której się nici pojawiały: dziewiczem latem.

Gdy później religia chrześcijańska wyparła Norny, wtedy nazwano białe te niteczki przędzą Matki Boskiej, i tak nazywają je we Włoszech, Hiszpanii i t. d. aż do dziś jeszcze. Że zaś stare kobiety lubią się wygrzewać w słońcu i przed nadejściem zimy wyzyskują każdą ciepłą chwilę, aby stare członki rozgrzać ciepłem słonecznem, przeto powstała inna dla nici tych nazwa, nasze ogólnie znane babie lato.

Staroniemieckie przysłowie mówi: „Kogo jesienią owinie, ten na Boże Narodzenie ślub bierze". Podług innej legendy nie przędły nici tych Norny, okrutne boginie przeznaczenia, tylko Holda, bogini łagodności i dobroci, otaczająca szczególniejszą opieką kobiety. I na jej miejsce przyszła z religią chrześcijańską Matka Boska, z tą tylko różnicą, że białe nici zostały oderwane od zasłony Najświętszej Panny, gdy się nią okrywała w chwili swego Wniebowzięcia. Ztąd stała się nazwa nici Maryi bardzo popularną. W Bawaryi znów inne mają znaczenie. Szkodaby było, gdyby się przejrzysta zasłona miała była podrzeć — niteczki więc spływają z nieba i chcą się razem połączyć, ale jeszcze nie pora na to, jeszcze ich nie dosyć. Spadają więc na drzewa i na pola i wiatr plącze je nieustannie i rozrywa, ale kiedyś powstanie z nich jednak biała, piękna zasłona i Matka Boska przyśle po nią orszak cały aniołów.

We Francyi, gdzie bujne włosy kobiet bardzo bywają cenione, są owe niteczki włosami Matki Boskiej, które złotym czesała grzebieniem. Tam zowią je „latem św. Dyonizego", w Czechach zaś, których patronem jest św. Wacław, „latem św. Wacława".

Niemniej poetyczną jest nazwa białych nici w Rosyi. Tam nie pochodzą one ani z zasłony Matki Boskiej, ani z przędzy Nornów, tylko z piór odlatujących dzikich gęsi, i dlatego mają nazwę „kwapu gęsiego".

Nauka doszła do tego przekonania, że zagadkowe te niteczki są przędzą maleńkich pajączków, lecz podania i legendy, jakie o nich istnieją, nigdy się w pamięci ludu nie zatrą.

Raz jeszcze, pod sam koniec pięknego, ciepłego lata, stroi się przyroda w najświetniejsze swe kolory. Kwiaty najintensywniejsze mają barwy i nawet liście rozmaitych drzew błyszczą złotem i purpurą i rozkoszują oczy nasze prześlicznemi odcieniami. Wszystko chce, żegnając nas, zostawić po sobie jak najlepsze wspomnienie. Nad świeżo zaoranem polem, nad łąkami i lasami, unosi się cisza i spokój — spokój dojrzałości, zebranego żniwa, spokój świąteczny w dni nawet powszednie — spokój nowego przygotowania się do nowej pracy i nowego żniwa.

Spokój ten przynoszą nam nitki srebrno-białej przędzy, w której zawiera się także znaczenie nazwy babiego lata.

Pory roku można bardzo dobrze porównać z życiem ludzkiem, ta przecież istnieje tylko różnica, że każdy rok wracający ma je na nowo, życie zaś ludzkie raz tylko jedyny! Więc też człowiek ma raz tylko „wiosnę życia", raz tylko „lato", pełne pracy, i raz „zimę", w której odpocząć mu wolno. Najpiękniejszą porą w życiu człowieka powinna być jesień, zdobiąca go na zewnątrz i na wewnątrz dojrzałością i świetnemi darami lata. Człowiek czuje się w pełni sił, nie myśli o zbliżającej się zimie starości, ale zwiastunami ich są białe niteczki, unoszące się w powietrzu i — pierwsze białe włosy w ciemnych dotąd kędziorach. Że zaś mężczyźni oswajają się prędzej z siwemi włosami niż kobiety (?), przeto w podaniu ludowem nazywa się biała przędza „babiem latem" i ma kobietom specyalnie przypominać, że jesień się dla nich zaczyna...

Ach, ta starość! Niema na nią lekarstwa! Bo chociaż włosy farbować można, chociaż pudry i kosmetyki przykrywają zmarszczki — starość jest — i nie ustępuje — przeciwnie nawet, mimo wszystkiego, coraz się więcej daje we znaki!

Jak chętnie chcielibyśmy przytrzymać, chociaż już nie wiosnę, to przynajmniej lato życia! Ale daremnie, czas mija, uchodzi szybko, a z nim mija nasza młodość niepowrotnie. Kto w tryumfach, piękności i młodości widział jedynie swe szczęście, temu staje się pierwszy biały włos postrachem śmiertelnym. Ale rozsądne i odważne kobiety są przygotowane na to i nie lękają się tak bardzo nieuniknionej starości. Cóż to szkodzi, że ciemne włosy przyprószy siwizna — jeżeli tylko twarz, siwemi otoczona włosami, ma wyraz godności i dobroci serca! Babcie i matki nie mogą się zaprzeć starości — nieomylnymi świadkami ich wieku są dzieci i wnuki, a chociaż dziś każda prawie kobieta twierdzi, że wychodząc za mąż miała lat szesnaście, to jednak nic smutnego dla nich faktu nie zmieni, że starość już nadeszła! Jeżeli jednak serce umiało odczuwać młodość i ma jeszcze zapał dla wszystkiego, co piękne i wzniosłe, to cóż mogą znaczyć siwe włosy?

Bo jesień i kobietom hojne niesie dary. Daje im doświadczenie , jasność sądu i zrozumienie tego, co im wiosną i latem było niezrozumiałem. Ale tylko te

B. Vautier. **Dramat małomiasteczkowy.**
Aresztowanie zbrodniarza to ważny dla miasteczka wypadek, który porusza wszystkie w niem żywioły począwszy od dziatek wracających ze szkółki aż do owego arystokraty w białym cylindrze, z fajką na giętym cybuszku. Nawet gęsi, kroczące poważnie ciasną uliczką, zwiastują wypadek ten głośnem gęganiem. Oryginalnymi są także piekarz, wskazujący za zbrodniarzem i kowal, chwytający się za głowę.

kobiety mogą się cieszyć jesienią, które zaznały młodości i swobody, które pracowały i sumiennie obowiązki swe wypełniały. Tym należy się spokój lat dojrzałych. Serce niczego już nie pragnie dla siebie, pragnąc wszystkiego dla ukochanych istot...

A jesień tyle ma jeszcze dni pięknych i pogodnych, tyle słońca i ciepła! Kto je potrafi umiejętnie wyzyskać, ten dużo jeszcze może mieć radości i szczęścia. Zanim wichry i słoty jesienne ostatnie z drzew zerwą liście, trzeba się pocieszać — babiem latem...

Empa.

Nie każdy mądry co milczy.

* * *

I pociąg serca ma zwrotnicę; jest nią rozum.

* * *

Trzeba oczy otwierać, ale nie nadto, bo się napełnią łzami.

* * *

Potrwa czas dłuższy zanim wejdziesz na wysokie schody, spadniesz z nich w jednej chwili.

* * *



Komedyanci.

„Świat chce być oszukiwanym." Zdanie to wypowiedział pewien mądry człowiek, rzucając tem samem ludzkości jeden z największych problemów. Myśl tę zdaje się potwierdzać życie i codzienne przestawanie z ludźmi. Nie jesteśmy żądni prawdy absolutnej, pragniemy ją widzieć zamaskowaną, a przynajmniej ujętą w formy uprzejmości. Wiemy naprzykład, że ten lub ów usposobiony jest dla nas obojętnie, krytycznie, być może nawet nieprzyjaźnie; gdy przekonamy się jednak, że wyraził się o nas w ten sposób, oburzamy się i gniewamy, choć nie można się było spodziewać czego innego.

Jakże się więc dziwić, że tylu ludzi przemądrych nawet skarży się na zawody w życiu? Pragną być oszukani, czemuż nie mianoby ich oszukiwać?

Bywają blagierzy, zasypujący ludziom oczy piaskiem, pyszałki przesadzający w niemożliwy sposób wszystko, co się tyczy ich osoby, ludzie lubujący się w frazesach, słowem komedyanci różnego rodzaju. Znajdujemy ich we wszelkich zawodach, na rozmaitych szczeblach towarzyskich, w kole zabaw i w kole pracy. Zawsze starają się olśniewać, imponować i pokrywać kłamliwemi słowy ujemne swe strony.

Szczęściem jednakże usiłowania te wprowadzenia nas w błąd bardzo są kruche. Być może, iż przy znajomości przelotnej, osoba taka wywrze na razie pożądane wrażenie i że na chwilę weźmiemy komedyę za rzeczywistość, w miarę jednakże dłuższych stosunków, zasłona fałszu opada pomału i kłamstwo okazuje się w całej ohydzie. Zwolna bowiem budzi się w nas wątpliwość, a z nią niedowierzanie, zaczynamy obserwować i badać, i prawda występuje w końcu w wyraźnych kształtach przed naszemi oczami.

To też człowiek trudno ukryje i osłoni na czas dłuższy czyny swoje, braki i niedomagania. Frazesy chybiają celu. W każdym zawodzie okaże się w końcu ignorancya i nieudolność danego oso-

bnika, a zdatność istotna i prawda zawsze wyjdzie na wierzch i zwycięży.

Dlatego też prawdziwa wiedza i sprawność posuwa ludzi wyżej na drabinie społecznej, a kłamstwo i blaga olśniewa świat tylko na chwilę.

* *
*

lekki połysk skóry. Potężne płaskorzeźby z Pergamonu wykazują również, że twórca ich znakomicie władał dłutem. Wywierają one wrażenie tem większej żywości i swobody, że wykonanie ich stało się bez równie wielkich modeli, a zatem w ten sam sposób w jaki później najsławniejszy mistrz epoki Odrodzenia Michał Anioł tworzył arcydzieła swoje. Ale pomimo że rzeźbiarze opanowali zupełnie dłuto, wystrzegali się zawsze wszelkiej przesady i swawoli w technice, które od czasu Canowy coraz więcej są w modzie w Włoszech.



W warsztacie galwanicznym.

Marmur czy bronz?

Pomniki są granicznemi kamieniami historyi, odznakami honorowemi dla zwycięskich pionierów i krzewicieli kultury. Mają one przetrwać setki lat i upominać jedno pokolenie po drugiem, aby działały dalej w myśl tych, którzy są dla wszystkich wzorem rozmaitych cnót.

Im forma pomników jest szlachetniejszą, doskonalszą i odporniejszą tem głębsze i trwalsze wywierają one wrażenie. Od tysięcy lat więc są marmur i bronz najlepszemi na to materyałami.

Grecy używali długo bronzu i kości słoniowej, wykładanej złotem, lecz najwspanialsze arcydzieła rzeźbili z marmuru. Genialni mistrze nadawali życie marmurom czy to paryjskim, czy pentelijskim, czy tasyjskim lub lesbijskim. W przezroczystej atmosferze południa, pod niezmąconem błękitnem niebem, dochodził wspaniały materyał do efektów wprost zachwycających.

Gdy po wojnie peloponeskiej odżyła na nowo sztuka grecka, rozwinęła się technika marmuru do najwyższej potęgi. Praxitelesa „Hermes z chłopcem Dionyzosem," najlepszym jest dowodem, jak po mistrzowsku oddaną jest delikatność ciała i nawet miękkość i

Nadzwyczajnem jest też to, że w skulpturze marmuru u Greków odgrywała polychromia ważną rolę. Lecz nie polychromowali nigdy marmuru, jeżeli w swej olśniewającej białości stał na tle ciemnej zieleni drzew laurowych, lub cyprysów, bo w takiem otoczeniu byłaby polychromia prawdziwym grzechem estetycznym.

W nowoczesnej plastyce marmurowej o charakterze pomnikowym nie znalazła polychromia wielu zwolenników. Ponad lekko cieniowane popiersia nie tworzono na tem polu nic więcej.

Pod pewnemi warunkami zwraca się poczucie estetyczne nawet przeciwko marmurowi, mianowicie, jeżeli chodzi o pomniki bohaterskich wojowników i sławne postacie historyczne. Miękka, a nawet możnaby powiedzieć, liryczna poezya marmuru tworzy idealny materyał dla pomników poetów, artystów, podczas kiedy bronz spiżowy, silny, ciężki, stosowniejszy jest dla pomnikowych postaci rycerzy, bohaterów i mężów czynu. I potem — północne niebo....

Trudno zapewnić marmurowi pod szaremi, ciemnemi chmurami, jeżeli przypadkiem nie stoi w parku, wywieranie efektu. W kraju, w którym tak mało słońca, wydaje się marmur zimnym, a wielkie miasta pozbywają go do reszty wszelkiego uroku.

Przeciw trwałości marmuru nie można nic powiedzieć, mianowicie gdy chodzi o wytrwałość na wszelkie zmiany powietrza nadaje się Statuario ravaccione, albo marmur tyrolski. Natomiast Statuario de Falcovaja i Statuario Carrara, dwa najpiękniejsze gatunki, nadawają się wyłącznie dla zamkniętych galeryj, sal i t. d. Używano ich niestety dawniej na pomniki, stojące na dworze.

Dotychczas używają artyści bronzu przeważnie na wielkie pomniki. Powiadają, że ody Horaca, „aere perennius" są trwalsze niż kruszec, ale na Kapitolu w Rzymie wznosi się zawsze jeszcze śpiżowy pomnik Marka Aureliusza na koniu — przetrwał on 1700 lat i stawił czoło niejednej burzy. A w Padwie i Florencyi istnieją od przeszło 400 lat śpiżowe arcydzieła Donatellego i Verrochia, tu potężny pomnik Colleona także na koniu, najwspanialszy w tym rodzaju pomnik na świecie, tam monument Gattamelata, pierwszy po upadku rzymskiej sztuki.

Co mistrze z epoki Odrodzenia rozpoczęli, tego się trzymali późniejsi artyści i w tym samym pracowali kierunku, bronz stał się prawie niezbędnym dla plastyki pomnikowej, mianowicie dla wszelkich pomników rycerzy na koniach. Pomniki takie, n. p. Cosima I. w Florencyi i Filipa III. w Madrycie, obydwa dzieła Jana de Bologna, wspaniały pomnik Ludwika XIV. w Paryżu, zniszczony w czasie rewolucyi francuskiej, oryginalny pomnik Piotra Wielkiego w Petersburgu, dzieło Falconeta, i wiele jeszcze innych, wszystkie te są poprzednikami pomników z bronzu naszych czasów.

Bronz jest mieszaniną miedzi i cyny, a do lania posągów używali go artyści w starożytności. Gęsto płynna miedź nie wypełniłaby najdelikatniejszych zagłębień formy, wychłodzona pękałaby i nie miałaby odpowiedniego na pomnik koloru. Dopiero dodatek cyny, pięcio lub najwyżej siedmioprocentowy, wyrównuje wszystkie te ujemne strony miedzi. Większy procent cyny, taki, jak n. p. zawiera t. zw. metal armatni, mógłby przy zlewaniu metali wywołać rozdwojenie się obydwóch, cyna pływałaby po wierzchu i tworzyłaby brzydkie plamy, które trudno byłoby usunąć z powodu ich twardości.

Przez pewien czas odgrywały też pewną rolę w bronzie ołów i cynk. Mieszanina 90 procent miedzi i 10 procent cynku i cyny w rozmaitym stosunku, bardzo była pożądana z powodu lekkiej płynności, lecz później okazało się, że mieszanina miedzi tylko z cyną o wiele jest lepszą. Cynk utrudnia podobno wytwarzanie się tak zwanej patyny albo nawet zupełnie ją uniemożliwia. I rzeczywiście, tyle pomników zatrzymuje równy, czarno szary kolor, zamiast błyszczeć malowniczo w efektownym kolorze malachitu, lub niebiesko - zieloną, albo błękitną patyną, że zajmująca gra kolorów i cieni zupełnie jest wykluczoną, i kształty form, delikatność linij i wypukłości lub wklęsłości powierzchni, ledwie rozpoznać można.

Inni przypisują wygląd czarnoszary wpływowi pyłu, sadzom i kwasom siarczanym dymu z licznych pieców w wielkich miastach. Inni znów przypisują brak patyny formowaniu w piasku i zbytecznemu cyzelowaniu. W każdym razie osiągły dokładne badania ten dobry skutek, że mieszanina miedzi i cyny i lanie jej w formy woskowe znów weszły w użytek i że pomniki z bronzu czyści się częściej starannie za pomocą zmywania i skrapiania wodą.

Głównym warunkiem do lania pomnika jest forma, urobiona podług modelu artysty. Stoi ona mocno na żelaznej płycie; podpartą bandażami żelaznemi, podtrzymują inne jeszcze zewnętrzne opakowania. Zaopatrzona jest w rozmaite kanały, wychodzące u góry w jeden wspólny lejek — kanałami temi zapełnia ją płynny metal od stóp do głowy. Oprócz tego znajdują się tam jeszcze wentylatory, któremi zbyteczne uchodzi powietrze.

Do zbudowania właściwej formy służy wosk albo piasek. Formowanie w wosku ma swoją historyę, sięgającą aż do czasów starożytnych, podczas kiedy formowanie w piasku, o ile chodzi o lanie posągów, zaprowadzili Francuzi na końcu 18 stulecia.

Obydwa te formowania wymagają wielkiej technicznej zręczności, długiego doświadczenia i wielkiego mozołu.



Przyrządzanie form woskowych.
Na przodzie część drzwi przeznaczonych do katedry w Zofii.

Formowanie w wosku odbywa się w ten sposób, że z modelu artysty tworzy się kawałami za pomocą gipsu albo żelatyny próżną formę — w każdą taką formę wlewa się wosku do grubości 6—12 milimetrów, odpowiednio do zamierzonej grubości metalu i potem formy, wylane woskiem, ustawia się na płycie żelaznej, wypełniając wnętrze odpowiednią masą. Następnie zdejmuje się znów kawałkami gips albo żelatynę, a kompletny już pomnik z wosku otacza się masą na grubość sześciu do ośmiu milimetrów, poczem na koniec wosk stopiony być musi. Jeżeli kanały do wlewu i wentyle są starannie przytwierdzone, to płynny metal można wlać w wnętrze formy, w której już wosku nie ma.

Inaczej dzieje się z formowaniem w piasku. Z większych albo mniejszych części modelu gipsowego bierze się odcisk w formie piaskowej i to w grubości mniej więcej czterech centymetrów. Każdy taki odcisk, posypany pyłem węglanym lub innym właściwym środkiem izolującym, przytwierdza się na odlew gipsowy, którego brzegi tak jak i brzegi odcisku starannie muszą być obcięte. Tak przygotowane części formy układa się na próbę w około modelu gipsowego. Jeżeli pokrywają go dokładnie i ściśle się z sobą łączą, to trzeba je zdjąć, ułożyć na żelaznej płycie w formę i napełnić gipsem, piaskiem lub ceglaną mąką. Następnie odłożyć tymczasowo części formy i objętość pozostałego środka zmniejszyć skrobaniem za pomocą noża o tyle o ile potrzeba miejsca na grubość 6—12 milimetrów metalu pomnika.

Gdy potem części formy na odlewach gipsowych są ułożone w około zmniejszonego środka i mocno owinięte, wtedy jest wysuszona forma, zaopatrzona w kanały i wentyle, gotową. Metal może być wlany.

Lanie odbywa się w dole, otoczonym tamą. Tutaj wstawia się formę i umacnia piaskiem, ziemią i silnem obmurowaniem. Po wlaniu, stęgnięciu i wychłodzeniu metalu, rozbiciu formy, rozdrobnieniu i wyrzuceniu środka, usunięcie stęgłego koło kanałów i wentylów zbytecznego metalu, za pomocą dłuta i młotka, wreszcie po oczyszczeniu płynu przez opalenie go kwasem



Forma z piasku przeznaczona do chwilowego lania.
Niezwykle wielkie modele kraje się na części, następnie kładzie w formy, odlewa i wreszcie składa się je w całość.

saletrowym lub siarczanym, jest główna robota skończona.

Przy formowaniu woskowem nie jest obrobienie powierzchni metalowej potrzebne, bo model artysty odlany jest z największą dokładnością. Tylko jeżeli dla ułatwienia formowano i lano kawałami, wtenczas należy poszczególne części mocno połączyć za pomocą śrub i czopów i wszystkie fugi zrównać młotkiem i dłutem.

Trudniejszem i mozolniejszem jest formowanie piaskiem.

Każda nierówność, t. zw. szew, powstały przy laniu przez naleciały płynny metal w fugi części formy, musi być zrównany i spiłowany piłą i młotkiem. Głównie odbywa się cyzelowanie przy dziełach drobnej plastyki. Jeżeli cyzeler zna dobrze swój zawód, to ożywieniem powierzchni i subtelnem charakteryzowaniem materyj, mianowicie ciała, włosów i ubrania, może się znacznie przyczynić do pięknego wyglądu metalu; jeżeli jednak jest partaczem, to może całości zaszkodzić bardzo. Dobrych cyzelerów jest niestety mało, dlatego też artyści boją się cyzelowania. Wolą więc formowanie woskiem, już dla tego samego, że pomnik w ten sposób lany, mogą jeszcze lepiej przekształcić i zaopatrzyć go w efektowniejsze cienie. Forma woskowa oddaje dokładnie wszystko to, czego w piasku formować nie można. Ale formowanie piaskiem jest zato o tyle przyjemniejszem, że forma pozostaje długo otwartą, wskutek czego można drobne usterki usunąć łatwo.

Jedno i drugie formowanie jest trudne. Przy formowaniu woskiem rosną trudności w miarę wielkości pomnika; dawają się też we znaki przy ustawianiu modelu woskowego i przy wypalaniu formy w piecu. Przy wielkich formach trwa wytopienie wosku czasem kilka tygodni. Temperatura pieca musi być równą dniem i nocą — nie może być za wysoką, aby nie osłabiać formy pękaniem, wtedy bowiem byłaby niemożliwą dla lania metalu. Zależy więc dużo od tych, którzy dniem i nocą nad piecem czuwają. Przy formowaniu natomiast piaskiem mogą się części formy podczas suszenia w piecu tak skurczyć, lub wydłużyć albo porozsuwać, że złożenie ich w formę jest niemożliwem.

I tak mają obydwa sposoby złe i dobre strony, lecz formowanie woskiem ma stanowczo więcej lepszych stron. Pomimo to jednak bez formowania piaskiem obyć się nie można. To też są obydwa sposoby często tak skombinowane, że każdym formuje się te części modelu, które mu są najodpowiedniejsze. Po skończonem laniu można wszystkie części złożyć łatwo.

Łatwo zrozumieć, że dla pomnika z bronzu jest pożądane, aby się jaknajprędzej wytworzyła patyna. Ale zwykle dużo lat mija, zanim to nastąpi, proces bowiem patynowania trwa bardzo długo. Może być, że czarnoszary kolor nowoczesnych pomników z bronzu jest tylko dłuższym przedwstępem tworzenia się patyny. W każdym razie można się spodziewać, że czysta mieszanina miedzi i cyny i formowanie woskiem wytworzą prędzej patynę. W patynie widzimy niejako stronę estetyczną, w przeciwieństwie do ludów starożytnych, które kazały pozłacać posągi śpiżowe. Pozłacanie to było zapewne tak matowe i lekkie, że oka nie raziło, a może też pokład złota był tak cienki, że złoto znikało, gdy się patyna wytwarzać zaczęła. Do zarzucenia pozłacania nie ma żadnego powodu, chodzi tylko o to, w jaki sposób jest złoto nałożone.

Więc marmur czy bronz?

Odpowiedź na to mogą dać tylko artyści, oni tylko kwestyę tę rozstrzygnąć potrafią. Artyści z delikatnością uczucia wybierają, z uwzględnieniem klimatu, materyał, stosownie do treści i miejsca zamierzonego pomnika. Harmonia w pomniku samym i harmonia w otoczeniu — tak powinien stać pomnik, jako arcydzieło pełne życia i porywającej siły!



Żółty kwiatek.

Gdyś mi kwiatek żółty dała, —
Jam się gniewał, tyś się śmiała,
Lecz na zgodę, na zadatek,
Wziąłem z rąk twych żółty kwiatek.

Żółty kwiatek, zgubne ziele,
Już się zazdrość w sercu ściele,
Bo już taki wyrok nieba:
Gdzie jest zazdrość, kochać trzeba.

I sam nie wiem, jak się stało,
Serce kwiat ten ukochało,
I nad wszystkie róże, bratki,
Mnie najmilsze żółte kwiatki!

Rozmarzony snów potokiem,
Patrzę w niebo gniewnem okiem,
Te błękitne duchów światy
Czemuż to nie żółte kwiaty?

I te gwiazdy tam w przezroczy,
Co tak świecą, jak twe oczy,
Siane perły na bławatki,
Czemuż to nie żółte kwiatki?

Gdybym ja to rządził światem,
Zasiałbym go żółtym kwiatem,
Zamiast kłosów, bladej cery,
Siałbym maik i jaskiery.

Niebo, woda, ziemia cała
W żółtej sukni by jaśniała,
A słonecznik z malwą w parze,
Toby byli dygnitarze!

Ja na tronie przy twym boku,
W żółtej szacie, z szczęściem w oku,
Kazałbym ci za podatek
Kłaść u nóg twych — żółty kwiatek!

Ale próżna ta ochota,
Jam sierotą, tyś sierota,
O nie dla nas szczęścia kwiecie,
Bo sierotom źle na świecie!

Więc gdy umrę — tam za światem,
Czekam ciebie z żółtym kwiatem,
Jak to słońce na tem niebie,
Z takim kwiatem czekam ciebie.

Lecz gdy życie milsze tobie,
Każę kwiat posiać na grobie,
Odbierając twój zadatek,
Zerwiesz z grobu — żółty kwiatek.

J. C. Z.



Dział kobiecy.

Z dziedziny mody.

Od niejakiegoś czasu powtarza się często w żurnalach mody słowo „krynolina", wzbudzające w czytelniczkach dreszcz przerażenia i grozy. Lecz chociaż nikt nie przeczuwa, jakie dawno minione szaleństwa mody znów ukazać się mogą, to przecież spodziewać się należy, że krynoliny takie, jakie niegdyś istniały, już się nie wrócą. Już z samych względów ciasności na ulicy, w tramwajach elektrycznych, pociągach i omnibusach. Widziałam wprawdzie już na ulicy de la Paix początek krynoliny: lekkie tiuniki, podszyte w wysokości kolan drutem. Wyglądają one jak balony, lecz nie zajmują one więcej miejsca, ani też zanadto nie szpecą figury, chociaż ładnemi nazwać ich nie można. Mają one być wstępem do krynolin, ale rzeczoznawcy twierdzą, że krynolinę spotka ten sam los, jaki spotkał suknię — pantalona.

Gdyby jednak krynolina w tym roku zmartwychpowstać miała, to stałoby się to właśnie w dwuchsetną rocznicę jej pojawienia się. W r. 1713 bowiem ukazał się w Londynie pierwszy model, podszyty stalkami, we Francyi zaś, dla drogości stali, używano obręczy z drzewa. I zwolna przybrały „reifroki" takie roz-

miary, że panie, siadając, potrzebowały dwóch krzeseł.

Już od samego początku szydzono z krynoliny nielitościwie. Były tam i karykatury, i satyry i pieśni złośliwe, które śpiewano na ulicach i w teatrach, Ale jak wszystko, co rodzaju żeńskiego, jest upartem, tak i krynolina była upartą i nieczułą na wszelkie zaczepki, oparła się nawet wyklęciom kościelnym! Kobiety, noszące reifroki, nazwano odźwiernemi dyabła i częstowano je najszpetniejszemi przezwiskami. Ale to nic nie pomogło, krynolina była silniejszą, niż jej przeciwnicy. I jak na złość, stawała się nawet coraz to obszerniejszą. Każdy gatunek reifroka odrębną miał nazwę — były tam „gondole" i „beczki", mające na dole tę samą objętość, jak u góry. Panie wyglądały rzeczywiście jak beczki.

Inne nazywały sie „cadeto", sięgały bowiem tylko poniżej kolan, „siodła" zaś na dole miały niezmiernie grube obręcze, watą oszyte, które suknie ogromnie rozszerzały.

Najulubieńszemi jednak były reifroki „poręczowe", u góry tak szerokie, że można było wygodnie położyć i opierać na nich ramiona, jak na poręczy fotelu. Suknie te składały się zwykle z pięciu rzędów obręczy. Jeszcze inne nazywano „criardes", to jest „krzykacze", używano bowiem do szycia ich gumowanego płótna, tak sztywnego, że przy najlżejszem poruszeniu rozlegał się głośny chrzęst, podobny do skrzeczenia żaby. Tych sukien używały najczęściej aktorki na scenie, wytworne panie nie lubiły ich wcale.

W połowie ośmnastego stulecia znikły wszystkie „nadzwyczajności", a miejsce ich zajął spódnik, podszyty kilka razy stalowemi obręczami. Suknie nie były już tak potwornie szerokie, jak dotąd — były to krynoliny, jakie nosiły jeszcze nasze babki i prababki, i jakie często widzimy na portretach i starych fotografiach.

W każdym razie nie pragniemy powrotu wszechwładnej niegdyś krynoliny. Dawniej, gdy w miastach nie było takiego ruchu, a na wsiach jeżdżono obszernemi kolasami i landarami, mogły się zmieścić obok siebie dwie lub trzy panie w krynolinach, ale dziś, gdy karetki są małe, a w miastach dorożki, tramwaje i t. p. ciasne, gdy na chodnikach idzie tyle osób razem, to cóżby się działo z krynolinami? Aż strach o tem pomyśleć!

Lepiej już zachować modę obecną, która jest i ładna i estetyczna — jeżeli granic nie przekracza!

Paryżanka.

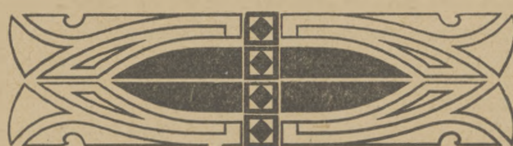
Patrząc oknem łatwo krytykować nierozsądek i lękliwość przechodniów.



Przestroga.

Nie tryumfuj dziewczę z młodu,
Że masz serce z lodu;
Nie przyganiaj wiosny słońcu,
Aż przy maja końcu.
Zrana róża na gałęzi
W pączku serce więzi;
A w południe przecie snadnie
I motyl w nie wpadnie.
Wtedy pszczoła kwiat całuje,
Kiedy słodycz czuje;
I twe wdzięki, o! dziewczyno!
Z lada rankiem miną.
I na ciebie, bluszczu młody!
Przyjdą niepogody;
Patrz więc wsparcia koło siebie,
Chceszli zbawić ciebie.
Dwie są drogi do zbawienia,
Na tych szukaj cienia;
Miłości powabne pęta,
Albo przyjaźń święta.
Szczera przyjaźń, moje dziecie!
Rzadką jest na świecie;
Miłość dzieckiem jest piękności,
Więc szukaj miłości.
Ty się śmiejesz, twoje usta
Wdzięczy radość pusta;
Byłożby to z mej, o! bogi!
Niewczesnej przestrogi?
Swawolnico! nie daruję,
Skarzę, wycałuję;
Jam wierzył w twój głos uroczy,
Niepatrząc w twe oczy.

J. N. J.



Czy wróci?...

Obrazek bułgarski.

Jesień była i gęste mgły zaległy równinę Wietry spowijając szarym płaszczem nizkie chaty wioszczyny. Na gościńcu panował jednak ruch wielki i cała droga zapełniona była wozami z amunicyą, zaprzężonemi w konie lub woły, tudzież świeżo zwerbowanem wojskiem. Żołnierze odziani w płaszcze lub kożuchy, z zarzuconemi na plecach derami, nieśli na ramieniu broń przybraną w gałązki bukszpanu, do której przyczepione były worki dobrze wypchane żywnością.

Zimno było i słota taka, że po kostki prawie brodzili w błocie, pomimo tego śpiewali, śpiewali bez ustanku...

Wesołe chłopaki!

Przed bramą karczmy stoi gromadka oficerów, a ciekawi wieśniacy przyglądają się przemokłym wojakom. Kobiety, dziewczęta i dzieci obdarte z czerwonemi od zimna twarzami, towarzyszą w pochodzie rekrutom i żegnają ich wołając:

— Szczęśliwej drogi!

A oni dążą ku Zofii, aby ztamtąd wyruszyć na pole walki.

— Wszakże to syn Giergiewata!.. Bóg z tobą, Zwietko!

— Patrzajcie, teraz przeszedł Rangiel...

— A tam Denkowiat! Hej, Iwonie! tu twoja matka czeka!

Kwiaty podają sobie z ręki do ręki, łzy spływają po licach i słowa konają na wpół otwartych wargach, żołnierze idą, a idą...

— Monna, widzisz tam naszego batka! — woła dziewczę jasnowłose z modremi oczami.

— Batko, Stojanie! — krzyczy ośmioletni chłopaczek, wyciągając ręce do żołnierza.

— Synu, synku! — woła płacząc matka.

Młody, czarnooki chłopak obrócił się, wystąpił z szeregów; zbliżył się, pocałował matkę w rękę, uściskał rodzeństwo, wziął kwiaty z rąk dziewczyny i przypiął je sobie do czapki, a potem spiesznie wrócił do towarzyszów.

— Synu mój, niech cię Bóg prowadzi! — jęczy stara matka.

— Stojanie! — woła łzawym głosem siostra, lecz głosy ich gubią się w rozgwarze, a Stojan znika w oddali i wnet go mgły zasłaniają, tylko matka stoi wciąż, patrząc za nim, a młode dziewczę podnosi do ócz barwny fartuszek i płacze...

Gdy matka wróciła do domu, załkała głośno, potem otworzyła starą skrzynię, wyjęła z niej gromnicę i zapaliwszy ją przed świętym obrazem, uklękła, modląc się długo, żarliwie, a tymczasem pod Dragomanem grzmią armaty i świstają kule...

Było to 4-go listopada roku Pańskiego 1885-go.

* * *

Pewnej nocy śniło się starej Cenie, że widzi wielką chmurę, która otula żołnierzy, Stojan jest także pomiędzy nimi. Panno Najświętsza, co się dzieje!.. Wicher ryczy, niebo się zapada, ziemia drży... jakoby bitwa wrzała, Stojan znika w dymie, już go nie widzi... a teraz!..

Rzuca się przerażona na posłaniu i budzi; dokoła czarna noc tylko, na dworze wyje wicher przeraźliwie.

— Bitwa się toczy, Panie Jezu, Matko Najświętsza, zmiłuj się nad nimi!

Do rana już biedna zasnąć nie może.

— Ojcze Piotrze — pytała nazajutrz — co oznacza we śnie chmura?

— Chmury są dwojakie, Ceno — odpowiedział stary — z jednych bywają deszcze, z innych piękna pogoda. Jakaż to była chmura, którą widziałaś we śnie?

Więc opowiedziała mu, co jej się śniło.

Stary wróżbita zastanowił się, nie pamiętał, czy w senniku czytał o takiej chmurze, lecz widząc przestrach i niepokój matki, rzekł z litości wielkiej stanowczo:

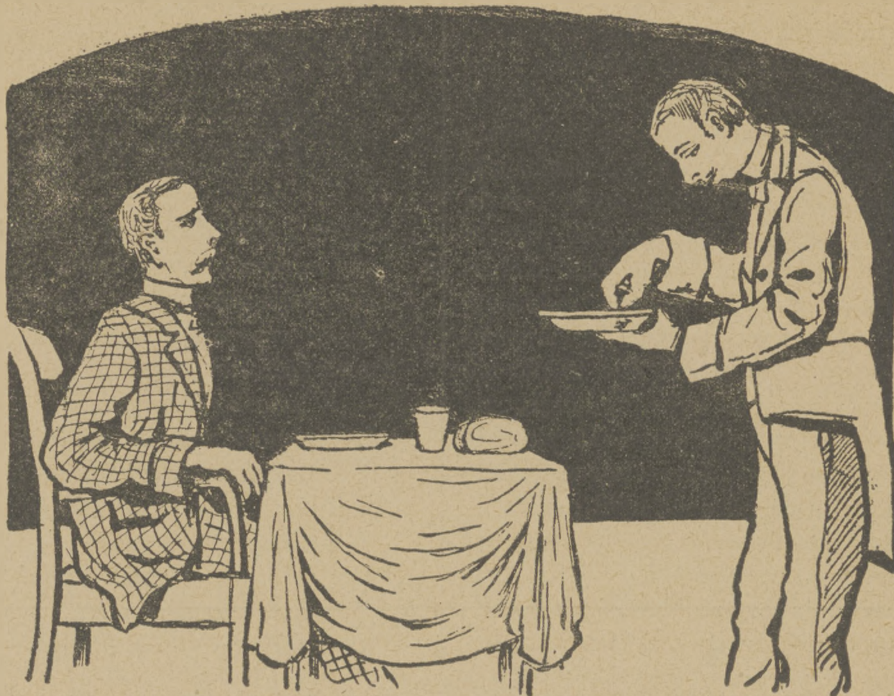
— Nie troszcz się, Ceno, dobry sen miałaś, chmura oznacza wieści, odbierzesz więc napewno list od syna.

Twarz kobiety rozjaśniła się.

Po sześciu dniach w rzeczy samej nadszedł list od Stojana i stara poleciała z nim do księdza, prosząc, aby jej pismo przeczytał.

„Kochana matko! — pisał Stojan. — Ślę ci wiadomość, że zdrów jestem i że po naszej stronie było zwycięstwo. Niech żyje Bułgarya! Jestem zdrów i także Rangiel i wuj Dymitry, który pozdrawia też swą matkę. Serbowie strzelają dzielnie, ale mają strach, gdy wpadamy na nich z okrzykiem ura! Zachowaj, matko, moje nowe rzemienie, bo zapomniałem o nich, a dzieci mogłyby je pokrajać na kawałki. Jutro ścigać będziemy Serbów przez Dragomańskie wąwozy. Gdy wrócę ,przywiozę Kinie gościniec z Niszu, a Radżowi pokażę, jak to granaty grają!.. Tobie, matko, posyłam franka i pozdrawiam cię stokrotnie. Posłuszny syn Stojan. Pozdrawiam też starego Piotra, chciałbym mu przesłać karabin serbski, ale nie wiem, jak to zrobić. Niosą daleko, lecz nie trafiają dobrze. Pozdrów też, matko, odemnie Stojankę.

Rozradowało się smutne serce Ceny. Powlokła się do Stojanki i tam wszyscy weselili się, lecz najwięcej cieszył się Radżo z obietnicy starszego brata.



Gość: Jakże można kłaść palce do zupy?
Kelner: Nie szkodzi, zupa nie gorąca.

Pewnego dnia ujrzała stara Cena garstkę jeńców wojennych, idących drogą, a obok nich żołnierza bułgarskiego. Zrazu myślała, że to Stojańczyk, tak mu był podobny; podeszła jednakże i pytała, czy nie przynosi wieści od syna, a widząc jeńców, westchnęła:

— Dobry Jezu, to więc są Serbowie! Toć to uczciwi ludzie, — biedne, biedne ich matki!.. Hej, poczekajcie no chłopy!

Pobiegła spiesznie do domu i przyniosła im butelkę wódki, prosząc, aby się napili. Żołnierz pilnujący jeńców, kazał im stanąć.

— Bóg wam zapłać, Bóg zapłać — wołali znużeni wojacy, pokrzepiając się trunkiem.

— I dla mnie zostało trochę... na zdrowie twoje, matko! — zawołał Bułgar, wysączając butelkę do ostatniej kropli.

— Oni chrześcijanie, my chrześcijanie!.. pocóż ta wojna? — dziwiła się stara, patrząc za odchodzącymi.

* * *

(Dokończenie nastąpi.)

Humor i satyra.

Tu... żebrać nie wolno!!

Stała w oknie uchylonem...
Drogą chłopak młody,
Idąc rzucił okiem w cudne
Dziewczęcia jagody!

By pójść dalej, nie poznawszy
Zbyt silną pokusa...
Więc spojrzeniem trwożnem żebrał
U niej... o całusa!

Dziewczę prośbę zrozumiało,
Bo z minką swywolną,
Wskazało mu na tablicę:
„... Tu... żebrać nie wolno!!"

Wyrozumiały.

Bartłomiej Pijacki wychyla już szósty potężny kufel. Żona, chcąc go wydostać z karczmy, powiada:

—Pamiętaj, Bartku, że masz siedmioro dzieci.

Bartłomiej zaś na to:

— Masz racyę, żonko, trzeba wypić na zdrowie tego siódmego robaczka, żeby się nam dobrze chował... Dajcieżno jeszcze jeden kufel!

* * *

Znak czasu.

Kucharka: Prosiłabym panią, żeby mnie na dziś zwolniła ze służby!

— Pani: Bardzo pięknie, ale kto ugotuje obiad?

Kucharka: Państwo mogą dziś zjeść na mój rachunek obiad w restauracyi!

* * *

Wytłumaczenie.

— Ja pijaka do służby nie przyjmuję — powiada pan zgłaszającemu się słudze.

— A zkąd pan wie, że ja jestem pijakiem, kiedy mię pan nie zna?

— Poznaję to po twoim czerwonym nosie.

— E, to nic — odpowiada służący — mój nos tylko dlatego czerwony, że za ciasne miewam chustki do nosa.

* * *

Szarada.

Nadesłała czytelniczka „Pracy“ pani Weronika S. z Berlina.

Pierwsze trzecie
Łatwo zgadniecie,
Bo z ich przyczyny
Rosną rośliny,
Także i swoje
Chowają słoje.
Drugie duch pychy
Karze za grzechy.
A **trzy złączone**
Wskażą wsławione
Imię nam drogie,
Co wrogi srogie
Samo straszyło,
Kiedy ich biło.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 9-go października włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej szarady.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie rebusa z nr. 38-go:

Teraz pieniądz dla wielu stanowi jedyny cel życia.

Trafne rozwiązanie nadesłali:

Z POZNANIA: pp. Wanda Malinowska, Stanisława Chraplak, M. Dymalska.

Z PROWINCYI: pp. Marya Złotowiczowa z Miłosławia, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa, P. Puppi z Szemborowa, Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Jaroch Czabański z Czerska, Jan Wachowski z Nowego Miasta nad Drwęcą.

Z GALICYI: pp. Jan Tatkowski i Anna Rejman z Łąki, Franciszka Krasińska z Mszany Dolnej.

Z OBCZYZNY: p. Salomea Ziemecka z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp. Marya Złotowiczowa z Miłosławia, P. Puppi z Szemborowa, Franciszka Krasińska z Mszany Dolnej, Salomea Ziemecka z Berlina.



Nasz kącik.

Odpowiedzi i parę słówek.

Leosia Peisert. Opatów. Cóż za radość! Nareszcie odezwała się do mnie miła czytelniczka z rodzinnych moich stron, gdzie dzieci dotychczas spać się zdawały snem lenistwa i obojętności. Witam cię, kochana Leosiu, i za liścik serdecznie dziękuję, wszakże nie będzie on ostatnim, prawda? Kujawiak z Jaksic i Rozalka z Kujaw. I wy niemniej mnie ucieszyłyście, moje kochane dziewczynki. Kocham cię Kujawianko za nauczanie młodszego rodzeństwa i ciebie Rozalko, za pilność w nauce. Piszesz już rzeczywiście prawie bezbłędnie, tylko spamiętaj sobie, że teraz z na końcu, a nie s. — Nie, moja Kujawianko, mylnie się wyraziłaś pisząc, iż po wyjściu ze szkoły zaczną się dla ciebie ciągłe wakacye. Przeciwnie, całe życie jest szkołą, a nie chcąc się cofać, trzeba ciągle iść naprzód, t. j. douczać się i ćwiczyć w pracy zarówno umysł, jak i ręce. Mysia i Anielka Skąpskie. Gąsawa. Ogromnie się pospieszyłyście moje małe z wypracowaniem, ale że ładnie piszecie i wiem, iż ze wszech miar zasługujecie na nagrodę, więc pewnie was nie ominie. Pszczółka. Kórnik. Szczęść Boże twojej z Lilijką przyjaźni, miła moja! Staraj się z korzyścią dla drugich i dla siebie spędzić wakacye i popracuj nad sobą, bo znów się błędziki wkradły: Również, ż na końcu nie sz, żywa ż, a nie rz. Czarny Rycerz i Biały Orzeł z J. Dzięki serdeczne za kartkę i miłe zaproszenie. Oj, gdybym tak miała konika i wózek, pewniebym, jak mówi przysłowie, „rzemiennym dyszlem jeździła do komina“, by poznać różne okolice i odwiedzać najmilsze moje dzieci. Życzę wam chłopcy miłego pobytu u Babci i Dziadzi i nabrania sił do dalszej nauki! Sokół z nad Czarnej Wody. Witaj, witaj miły Sokole! Długo czekałam i tęskniłam i tem większą radość liścik mi sprawił. Wiesz mój miły, nie wiedząc co sądzić o długiem milczeniu, przypuszczałam już, że to może za karę z powodu braku pilności Mamusia ci pisać nie pozwala. Ale to przecież niemożliwe, żeby mój Sokolik miał być leniuszkiem, prawda? Toby było bardzo smutne... Napiszę p. redaktorce „Naszego Domu“ w Warszawie, że nawet chłopczyk chciał się zgłosić z obietnicą skromnego stroju, pewnie się bardzo ucieszy. Przed dwoma tygodniami umieszczony był na czele tegoż pisma artykuł, omawiający wasze przyrzeczenia, dziewczątka z „Kącika“. Pani redaktorka serdecznie pozdrawia was, młode Polki, i wzywa matki z wszystkich dzielnic kraju, aby oznajmiwszy swym córeczkom o waszem postanowieniu, zachęciły je także do naśladowania was i umiłowania skromnego stroju. No, dzieczynki moje, pamiętajcież, że *teraz tem więcej* zobowiązane jesteście do dotrzymania obietnicy i świecenia dobrym przykładem skromnego stroju i cofać się przed tem *nie wolno*, skoro za wzór dla innych was podano! Wspomniałam w poprzednim „Kąciku“, że spędziłam kilka dni w Królestwie Polskiem (zabór rosyjski) pod Sieradzem. Miasteczko to nie wielkie, ale dość schludne, posiada ładny park i leży nad Wartą. W dziejach naszej przeszłości Sieradz pamiętny jest tem, iż w jego murach postanowiono najpierwej obrać Jadwigę królową Polski i zakończyć w ten sposób krajowe niezgody. To też na tę pamiątkę w odnawianym obecnie kościele poklasztornym wymalowano w głównej nawie kilka obrazów z życia świątobliwej królowej. I tak: Jadwiga modląca się u stóp krzyża w świątyni wawelskiej, gdy naród żądał, aby zrzekła się narzeczonego Wilhelma i poślubiła Jagiełłę. Drugi obraz, gdy mówi do małżonka, ujmując się za uciśnionymi wieśniakami: „A któż im łzy ich powróci?“ I następne, gdzie malarz przedstawił ją rozdającą chleb ubogim i przewiązującą rany chorych w szpitalu. Tu znowu widzimy Jadwigę jak oddaje wszystkie swe klejnoty na budowę Akademii w Krakowie, a dalej, jak wieszczym duchem natchniona przepowiada stojącym przed nią Krzyżakom: „Pamiętajcie, że póki żyję, odwodzę króla od wojny, lecz po mej śmierci nie minie was zasłużona kara“. Była to przepowiednia klęski, która dotknęła Krzyżaków pod Grunwaldem 1410 r. Modliłam się gorąco, wpatrzona w te obrazy, z prośbą, by królowa Jadwiga swą miłość i poświęcenie dla kraju, tchnęła w serce wszystkich polskich dzieci. A oto mały dowód, jak czują czasem młode serduszka. Widziałyście już nieraz pewnie dzieci unoszące się w górze samoloty? Otóż głośny lotnik francuski, Jean de Brindejonc, który odbył górną podróż z Paryża do Warszawy, ugoszczony tam po staropolsku, serdecznie, po powrocie napisał w jednym z paryskich dzienników: „Polacy są *prawie* narodem. Słowa te powtórzyła warszawska gazeta; czytało je wiele osób, przeczytała je także mała Polka z pod Zakroczymia i oburzona napisała list po francusku do redakcyi, z prośbą, by go doręczono lotnikowi p. B. Oto słowa dziewczynki: „Szanowny panie! Napisałeś — „Polacy są prawie narodem“, a ja ci na to odpisać muszę, że wy Francuzi jesteście niedouczeni i nieświadomi. Proszę pana, abyś przeczytał historyą polską. Mała Polka.“ Jakżebym pragnęła, abyście i wy, moje dzieci broniły zawsze i wszędzie sławy i czci swego narodu... Znać dzieje kraju, królów swoich i sławnych mężów, to jeszcze nie wystarcza, trzeba również zapoznać się z tymi, którzy serca i ducha narodu kształcili, dlatego rozpoczynam nowy szereg zagadek literackich, tym razem z nagrodami i to nawet bardzo ładnemi. Wypracowania nadeślijcie po umieszczeniu ostatniej zagadki. *P. W.*

* * *

Przyjaciele.

(Ciąg dalszy.)

— Ja rabina sprowadzę, — krzyczał bankier dalej — ja nie pozwolę, żeby w moim domu takie się działo zgorszenie. Co wy tu robicie? Co znaczy ta modlitwa, w której Boga chrześcijan wzywacie? Alfred opadł na poduszki i pot wystąpił mu na czoło, matka zasłaniając go sobą, przed mężem stanęła: Błagam cię na wszystko o spokój, nie zabijaj mi syna swym gniewem! Wszakże zaledwie niedawno wyrwaliśmy go śmierci. Bóg chrześcijan Jezus Chrystus cudem przywrócił mu życie, ja wierzę w Chrystusa i chcę być ochrzconą, a Alfred już jest chrześcijaninem! W starego bankiera jak gdyby piorun uderzył, za serce się schwycił, zachwiał i gdyby go żona nie podtrzymała, byłby padł na podłogę. Gdy złożony na kanapie oprzytomniał, zamknął się w swoim pokoju i długo, długo rozmyślał, nieodpowiadając na wołania żony i syna.

Zdawało się, że staremu bankierowi z dziesięć lat przybyło, gdy wreszcie na drugi dzień wyszedł ze swego pokoju, tak blady był i zgarbiony. Na progu klęczał Alfred. Ujął on kolana ojca, czołem do ziemi się schylił, w nogi całował: „Ojcze mój, wybacz mi ból, który ci zadałem! Pobłogosław mi i nie opieraj się memu szczęściu! Jestem chrześcijaninem, daj mi jawnie wyznawać prawdziwą wiarę! Nie przestanę cię przecież kochać, ani czcić i szanować.“ W pierwszej chwili odepchnął żyd syna, lecz, gdy spojrzał na jego bladą, wynędzniałą twarz i podkrążone oczy, trwoga szarpnęła mu serce. Pochylił się, podniósł chłopca, ujął w ramiona i w czoło pocałował. „Widocznie źle się modliłem, skoro mnie Pan Bóg tak skarał, ale niech się dzieje Jego wola! Nie chcę się sprzeciwiać ani tobie, ni matce, tylko wyjechać stąd musicie zaraz, aby uniknąć rozgłosu. (D. n.)

* * *

I. Szarada literacko-historyczna.
Do nagrody.

Pierwsze, nazwisko tego, co w naszej krainie
Zaczął tworzyć po polsku, nie po łacinie.
Drugie przy dźwiękach hucznej toczy się muzyki,
A lubią tę zabawę, dziewczęta, chłopczyki.
Gdy złączysz *pierwsze z drugiem*, to powstanie całość:
Nazwisko znane męża. Karcił opieszałość
Z jaką synowie Polski kraj swój wydawali,
Ach, prawie bez oporu na łup dla Moskali....
Jeśli kiedyś mieć będziesz chociaż skrawek ziemi,
Chroń go i wzbogać pracą siłami wszystkiemi,
Nie targuj nim, nie rzucaj dla grosza i zysku,
Zachęty szukaj w zacnym Polaka nazwisku.
Ten mąż, co bronił Polskę, w chwili jej upadku,
Niechaj wzorem ci będzie, drogi, mały światku
I wiedz, że naszej ziemi, choć najmniejszy kątek,
Czcić trzeba jak spuściznę pełną cnych pamiątek.
A ponieważ nie trudna dzisiajsza szarada,
Niech rozwiąże ją wielka mych dziatek gromada.
Napiszcie, w którym wieku żył w naszej krainie
Ów pisarz, który tworzył pierwszy *nie w łacinie,*
Jakiem dziełem się wsławił, w której mieszkał stronie
I który król naówczas zasiadał na tronie?
Hejże, droga ty dziatwo, popracujże główką,
A drugiemu mężowi, o poświęć też słówko!



Maciej Łubieński.

ZŁUDA.

Powieść.

1)

I.

Tęskna i cicha drzemała jesień cudna ponad zrzętemi ścierniskami rozległych pól ukraińskiego stepu, omraczała dal zwojami sinawych mgieł, mieniła się krwawo-złotą barwą lasów i tuliła wprost, zda się, w objęciach, z pieszczotą promieniejące smętne równiny.

Tonąc w ogromnych i rozłożystych liściach buraczanych, co tchu starczyło, pomykał duży szarak, a za nim — wyciągnięte, rasowe, w zgrabnych rytmicznych podskokach, sunęły charty. Zając zaszył się niebawem w cienistą głąb liści, a charty zdumione, stanęły po chwili bezradnie — zupełnie zbite z tropu.

W mgnieniu oka jednak porwały się znowu. Na skraju pola, na miedzy, ukazał się chytry kot, a przesadziwszy rów, graniczący z borem, znikł wśród przerzedzonego gąszczu czarnolesia.

Charty dotarły aż do miedzy i stanęły ponownie, wznosząc łby w górę i węsząc, zakłopotane i zabawne. Nie raczyły jednak przeskoczyć rowu, uważały to widocznie za rzecz zbyt już gorliwą i zgoła niepotrzebną, natomiast posłyszawszy za sobą tętent konia, odwróciły się i z podwiniętemi ogonami, zawstydzone i pokorne, zaczęły biedz wolno ku nadjeżdżającemu panu.

Właściciel lasu i okolicznych łanów, Maryan Żyjeński, zatrzymał wierzchowca i zeskoczył na ziemię. Rad, po parogodzinnej przejażdżce, rozprostować członki, dalekim był myślą od karania patrzących mu w oczy potulnie zwierząt, które nawykłe snać do razów po nieudanych łowach, wyuczone i sprawne czekały jakby na to, przeciągając się na przednich łapach.

Nie widząc jednak w ręku pana wzniesionej groźnie szpicruty, odetchnęły z ulgą, i ułożywszy się w lesie na murawie, wywiesiły języry, odpoczywając z lubością.

Z boru jednocześnie wyszedł leśniczy i ukłonił się nisko dziedzicowi.

— Moi kochani — zapytał Żeleński — zdaje się, że przez las to już bardzo blizko do dworu?

— O tak, proszę łaski pana, ino patrzeć. Ot, tą ścieżyną prosto jak strzelił.

— No, to weźcie konia, charty, a ja pójdę piechotą.

Rozległ się gwizd przeciągły, charty zdziwione spojrzały niepewnie w stronę Żeleńskiego.

Ten najobojętniej w świecie zaszywał się w las; powstały zatem leniwie i ruszyły śladem leśnika,

Żeleński pod rozłożystym dębem wkrótce spoczął na murawie... Zachodziło właśnie słońce. Pożółkłe liście, zabarwione purpurą promieni z innemi pokraśniałemi z natury, zlewały się w jeden niby płaszcz krwawy, który, rozpostarłszy się pod borem, tulił w fałdach wszystkie drzewa i stroił je w czarowne i cudne mieniące się kolory i cienie.

I z dziwnym jednocześnie smętkiem dnia tego kryło się słońce, hen, gdzieś w oddali. Gasło ono stopniowo, jak młodość, jak szczęścia rojenia i marzenia złudne — w milczeniu szczytami drzew szły jakieś dreszcze i szepty.

— Jesień, jesień, jesień! — koniec — koniec!... — szemrały liście dębu. — Minęły wzloty, porywy, miłość, szał! — gwarzyły dalej cicho liście, nuciły tęskną pieśń przeszłości...

— Jesień, jesień, jesień!....

Żyleński westchnął... Miał lat pięćdziesiąt. Jak chwila jedna przemknęły te lata młode, utonęły w przeszłości bezpowrotnie.

I teraz dopiero, na progu jesieni życia, odczuwać zaczynał całą wartość lat minionych. Żeleński miał młodość spokojną... Do czterdziestego roku życia biedny zupełnie, później dopiero, odziedziczywszy pokaźną fortunę na Ukrainie po stryju, używał jej umiarkowanie. Lata, w których młodość burzy się zwykle i miota, szaleje i kocha, żyjąc całą piersią, całą potęgą sił żywotnych — przeszły dla Maryana w ciężkiej walce o byt, gdy sam na świecie zdobywał życiowe jutro, jako nauczyciel prywatny, w mieście, lub na wsi.

Kiedy został bogatym, czara cierpień życiowych, które miał po za sobą, była zanadto już pełną, doświadczenie zbyt wielkie, umysł zbyt poważny, by Żeleński z całem zapomnieniem i lekkomyślnością młodzika mógł już używać darów życia, których dostęp ułatwiło by mu bogactwo.

Dotychczasowe jego gusta nie zmieniły się. Zamiłowany dotąd w książkach i pięknie, stał się w krótkim czasie miłośnikiem sztuki, znanym w kraju całym, a bogatej jego biblioteki i zbiorów artystycznych mógłby pozazdrościć niejeden patentowany mecenas, artysta i zbieracz. Obecnie powracał Żyleński z kilkoletniej włóczęgi po Europie, wracał znów samotnikiem bezżennym, choć w piersi jego zrywały się często pragnienia szczęścia, choć na dnie duszy tailły się marzenia miłości i rozkoszy, podzielonych z wybraną, a wyobraźnię nęcił obraz domowego zacisza... Życie odsuwało dotąd stałe projekty te w przyszłość — niweczyło rojenia. Dziś znowu miał pokusę.

Maryan Żyleński przeciągnął się na murawie i spojrzał po lesie...

Pnie drzew stawały się coraz krwawsze, mech mienił się u ich stóp, pieszczony dotykiem świetlistej fali purpurowych promieni!

— Pamięta tę chwilę — myślał dalej — był na cmentarzu w powiatowem miasteczku. Stał oparty o sztachety grobu stryja, gdy posłyszał nagle za sobą szelest sukien i czyjeś kroki....

Towarzysząc znanej mu z widzenia pani Usza-Uszańskiej, najbliższej jego sąsiadce w okolicy, szła młodziutka panna. Nie znał jej — była śliczna! Blondynka, miała cudne cie-

mno-błękitne duże oczy, przepastne zawrotną jakąś głębią; gdy ciekawie spojrzała nań zadrżał...

Dotąd wzroku tego zapomnieć nie mógł! — Jak ją poznać? O tem myślał Żyleński od rana.

— Zgłupiałem na starość! — mruknął wreszcie głośno do siebie i przetarł dłonią czoło.

Słońca nie było już w lesie... Czarowna gra kolorów spełzła, liście tylko spadały zrzadka, z cichym szelestem, we wczesnym jesiennym mroku rozpływając się i ginąc jakby, zanim dotknęły ziemi. Stawało się coraz ciszej...

Żyleński szybko skierował się ścieżką. Szelesty rozległy się wokoło. Z poza krzaka wyjrzał trwożliwie zając i pomknął w gęstwinę, ponad wierzchołkami drzew przeleciał cicho duży ptak, z rytmicznym poszumem skrzydeł.

W dziesięć minut później Żyleński wchodził do zacisznego gabinetu w pałacu Zembrzyńskim. Pokój tonął w półświetle lampy, na skórzanej kanapie śpiąc smacznie, leżał rasowy legawiec, ulubieniec pana.

Żyleński codziennie godziny wieczorne poświęcał korespondencyi, rachunkom gospodarskim i czytaniu dzieł poważnych. Dnia tego jednak nie szła mu praca.

Postać nieznajomej wychylała się z cieniów komnaty, i oczy jej pytające, zawrotne głębią, patrzyły na niego zdziwione i marzące... Tak silnego wrażenia pan Maryan nie doznał oddawna.

Mówiono, że był pięknym. Siostry i młode matki dawnych uczniów kochały się w nim zawsze. On czasem płacił im wzajemnością, najczęściej przelotną tylko i czysto platoniczną. Pamiętał wiele spojrzeń kobiecych, na dnie których drzemało nierzadko prawdziwe uczucie — wszystkie przeszły po nim, jak ciepłe słoneczne fale, i zgasły.

Żadne wprost — analizował dalej — nie wstrząsnęło nim tak do głębi...

Żyleński odłożył czytaną książkę, powstał i sięgnąwszy po lampę, wziął ją do ręki, kierujac sie ku pogrążonym w ciemności pokojom. Minąwszy kilka salonów, znalazł się w podłużnym oszklonym korytarzu. Była to jego ulubiona galerya.

Stanął wkrótce przed małym obrazem, bardzo staranną kopią jednej ze słynnych główek Greuza, z muzeum Luwru. Po to tu przyszedł i nie zawiódł się... Łagodnemi oczyma w cichem zamyśleniu, spojrzały na niego szafirowe źrenice dziewczęce, takie głębokie, — tak bardzo do tamtych podobne! Stał długo...

Zdziwione jakby, patrzyły na niego dziesiątki wspaniałych rzeźb i obrazów. O tak późnej godzinie Maryan zaglądał tu rzadko.

Od główki Greuza odszedł po chwili. Szukał czegoś wśród swych pamiątek. Było ich jednak tak wiele, że znaleźć nie mógł. Pamiętał doskonale, iż posiadał obraz maleńki, szkoły włoskiej, niewiadomego twórcy. Przedstawiał idącą po wodnej toni nimfę, cud-boginkę. Ona także miała jej oczy... Odnajdzie ją jutro.

Żyleński skierował się ku wyjściu. Szedł zamyślony, smutny, poprzez nieme komnaty. Chłodem, martwotą dziwną powiało nań od tego domu, dokąd z włóczęgi po świecie tak lubiał powracać.

Wydawał mu się on spokojną przystanią, zacisznym ulubionym zakątkiem.

Dziś... wiał pustką, brakiem ukochanego głosu, srebrzystego drogiego śmiechu, mroził nieobecnością słońca, wesołości, a głównie młodości, co umaiłaby wiosną te ściany, prądem życie — czarem miłości rozaśjniłaby tę głuszę.

Żyleński skierował się ku sypialni.

W pałacu dzwonić poczęły zegary, odzywając się monotonnie po kątach, niby w zamarłym i zaczarowanym dworze.

II.

Białe ptaki jaśminu sypały się deszczem na puszysty dywan zacisznego panieńskiego pokoiku, spadały potulne u stóp młodego dziewczęcia, obrywającego bezlitośnie, z jakąś gniewną pasyą, listek po listku z każdego kwiatka. Wreszcie z nerwowych rączek Reni wypadł szkielet bukietu. Podparłszy głowę ręką, zapatrzyła się w otwarte okno.

Zcicha, drzewa ogrodu szeptały... Czasem po szczytach ich przebiegł dreszcz, szumiały głośniej chwilę i znów szemrały tajemniczo i jednostajnie...

Żar upalnego popołudnia płynął z parku i obejmował pieszczotliwym uściskiem młodą dziewczynę, budził w niej jakby podstępne uśpione pragnienia, drażnił łagodnym dotykiem rozpaloną twarzyczkę.

Zerwała się i zbliżyła do okna. Ukryła twarz w dłonie...

Zamknięta, odcięta od świata, w tym głuchym dworze, sama jedna ze schorowaną babką, Renia od pewnego czasu czuła jakiś żal głuchy do życia, do świata — młodość upominała się o swe prawa.

Samotne księżycowe noce, zawrotne i pełne czaru, tęsknot i marzeń, długie jesienne i zimowe wieczory, wspomnienia przeczytanych ukradkiem książek, natura przytem bujna, zapalna, skłonna do entuzyazmu —sprawiły, iż dusza młodego dziewczęcia otwierała się, jak kwiat, spragniony porannej rosy, żądna wzruszeń, ruchu i życia. Serce jej pragnęło kochać!

Miłość niedoznana nigdy stawała się w oczach Reni zaczarowaną krainą baśni, do której wejść chciała, wejść całą siłą, całą potęgą młodości wiośnianej — skończonych zaledwie lat osiemnastu...

Była piękną i wiedziała o tem. Nie korzystała jednak wcale z przywilejów, które stworzyć może kobiecie wybitna uroda. Ludzi, świata nie widywała wcale. Babka, dumna z nazwiska, a głównie z koligacyi Usza-Uszańskich z pierwszorzędnemi rodami w kraju, nie żyła z nikim w okolicy, uważając sąsiadów za niegodnych do przestąpienia progu olanowieckich salonów.

— „Ce n'est pas mon monde!" — mówiła zwykle, gdy potrącano w rozmowie o ziemian okolicznych.

Renia skazaną więc była na samotność. Do tradycyjnego bywania w świecie stołecznym, na szerszej arenie życia zdaniem pani Uszańskiej, było jeszcze zawcześnie. Czas więc tymczasem schodził tak sobie — w nadziei lepszej przyszłości. Był wprawdzie jeden sąsiad w okolicy, którego dumna babka Reni przyjęłaby chętnie...

Maryan Żeleński jednak, właściciel Zembrzyna, nie był nigdy dotąd w Olanówce.

Przy myśli o nim twarz dziewczyny zabarwiła się rumieńcem. Zoczony przypadkowo na cmentarzu podobał się bardzo Reni. Miał takie śliczne szafirowe oczy, zamyślone, smutne, postawę piękną, rysy twarzy także, wąs polski i ruchy wyniosłe — pańskie.

Renia powstała z krzesła i wychyliła się przez okno, wdychając odurzający zapach róż, rosnących pod oknem.

W ogrodzie szukał jej właśnie Grzegorz, stary i zaufany sługa.

— Proszę panienki — waza na stole, starsza pani prosi.

— Zaraz idę! — zawołała Renia i przeczesawszy rozrzucone włosy, zbiegła na dół, do jadalnej sali.

Tu zastała już babkę siedzącą za stołem.

— Zawsze spóźniasz się, Reniu! — przywitała ją chłodno. — Siadaj — już zupa wystygła.

Dziewczę usiadło sztywno przy stole.

Rozpoczęło się spożywanie darów Bożych w milczeniu. Od pani Usza-Uszańskiej wiało chłodem, mroziło zimnem zgasłych zapomnianych porywów i egoizmem starości, myślącej już tylko o własnych wygodach, za nic sobie mającej młodość, rwącą się tuż obok niej w życie i w przyszłość, młodość, rojącą z wezbraną pragnieniami piersią, o miłości i rozkoszy, o wyrwaniu się, bądź co bądź z oków, gniotących jej indywidualne poczucie swobody i chęci korzystania z praw i przywilejów lat młodych.

Co działo się na dnie duszy wnuczki — było zawsze obojętnem babce Reni.

Dbała przedewszystkiem o zewnętrzne wypolerowanie i o tak zwane wychowanie salonowe, olanowiecka pani ciepłem słowem, ani pieszczotą nie starała się nigdy zbliżyć duchowo do siebie dzieweczki.

Ta zaś instynktownie oddalała się od babki coraz bardziej, na tle otaczającej ją przyrody i myśli własnych, stwarzając sobie odrębny światek rojeń, projektów i marzeń!...

Obiad skończył się wśród półsłówek ze stron obu.

Pałac wkrótce zaległa cisza — wszyscy kolejno rozeszli się do swych zajęć. Renia z książką wymknęła się do ogrodu.

Tymczasem szerokim traktem, przecinającym piękny olanowiecki dębowy lasek, jechał zamyślony Żyleński. Dziwny uśmiech błąkał się po jego ustach... Przywykły analizować w duszy samego siebie, myślał właśnie z ironią, jakim są fałszem zawsze i wszędzie stosunki ludzkie. On, naprzykład, stroniący stale od centrów towarzyskich, zwanych „higlif'em", jedzie teraz do domu, poczytywanego w okolicy za arystokratyczny „par excellence." On, wreszcie, ceniący tylko głównie ludzi wykształconych, stawiający ponad formy ogłady towarzyskiej — rozum, duszę i szersze poglądy — nałamuje się oto moralnie do poziomu umysłu i przekonań takiej pani Usza-Uszańskiej, znanej ze swej zaśniedziałości kastowej i obskurantyzmu!

Żyleński począł zżymać się w duchu. Na chwilę jedną zbuntowała się w nim harda dusza człowieka, przywykłego w życiu iść luzem, z samodzielnością duchową jednostki, stroniącej od stadowego i banalnego życia!

Jeszcze chwila i rozkazał by zwrócić napowrót do Zembrzyna. Opamiętał się jednak w porę. Po raz setny może od dni kilku spojrzały mu wprost do duszy głęboko cudne, myślące i namiętne oczy Reni. Westchnął i rozejrzał się... Powóz toczył się właśnie po dziedzińcu pałacowym. Niebawem Żyleński wchodzi już do dużego przedpokoju w olanowieckim dworze. Stary kamerdyner Grzegorz, znał doskonale Żyleńskiego z widzenia, pragnąc jednak ukarać jakby gościa za tak długie omijanie Olanówki, zapytał obojętnie:

— Jak mam zameldować jaśnie pana?...

— Żyleński z Zembrzyna! — odparł z przelotnym uśmiechem Maryan.

Stary sługa w milczeniu wprowadził gościa do dużego archaicznego salonu.

Żyleński rozejrzał się w nim z zadowoleniem. Choć surowa nieco i jednostajna, z portretów i obrazów, z bronzów, rzeźb, makat i mebli stylowych wyzierała ku niemu przeszłość, ujęta w wykwintne i artystyczne ramy ówczesnego artyzmu.

W Żyleńskim zbudził się miłośnik starożytności, artysta i mecenas sztuki. Zapomniał na chwilę, gdzie się znajduje. Niby w jakiemś włoskiem muzeum lub w prywatnym „palazzo", drobiazgowo i z zajęciem zaczął oglądać wszystko po kolei.

Nagle, spłoszony szelestem zbliżających się kroków, odwrócił się szybko.

I jakby dopełnienie tego archaicznego wnętrza, na progu salonu ujrzał pan Maryan wysoką postać sędziwej matrony, wysokiej, szczupłej, ubranej czarno, z włosami skromnie rozdzielonemi „en bandelettes", w binoklach, z pod których patrzyło na przybysza niemiłe, zimne spojrzenie szarych, wyblakłych już oczu. Twarz ściągła i blada nacechowana była wyrazem wyniosłości, chłodem i dumą.

Żyleński, bąknąwszy nazwisko, skłonił się.

— Bardzo mi miło powitać pana u siebie! — usłyszał jednocześnie. — Choć, co prawda, dawno już należało się...

Z uprzejmym gestem wielkiej damy podawała mu rękę Olanowiecka pani. Dźwięk jej głosu wydał się panu Maryanowi dość miłym i uśmiech przyjemnym.

Usiedli i rozpoczęła się rozmowa banalna, złożona z krótkich pytań gospodyni domu i zwięzłych odpowiedzi gościa.

Żyleński kręcił się na krześle zdenerwowany i spoglądał co chwila w stronę drzwi. Nikt nie zjawiał się jednak.

Niespodzianie tylko odezwała się po dłuższym czasie pani Usza-Uszańska:

— Muszę przedstawić pana wnuczce...

I dzwoniąc na kamerdynera:

— Mój Janie — rozkazała — proś panienkę, pewnie jest w ogrodzie.

— Panienka już wraca, proszę pani.

Jednocześnie po kamiennej posadzce werandy dały się słyszeć lekkie kroki.

W blado-błękitnej sukience, ściągniętej niedbale białą szarfą, z pękiem astrów w dłoniach i z książką pod pachą, na progu balkonu i na tle purpurowem dzikiego wina stanęła Renia w ramach jesieni w przyrodzie — urocze zjawisko wiosny życia!...

Ujrzawszy i poznawszy Maryana, cofnęła się zmieszaszana, rumieniec zabarwił jej policzki i spuściła oczy.

Po zapoznaniu młodych ze sobą, pani Usza-Uszańska usunęła się niebawem zręcznie, pozostawiając ich samych.

Zdziwionym wzrokiem przeprowadziła ją Renia. Dawno już bardzo nie widziała babki tak bardzo uprzejmej.

Gdy ta znikła, rzuciła przelotne spojrzenie na Żyleńskiego i zagadnęła śmiało:

— Wszak to pana spotkałyśmy z babcią parę dni temu na cmentarzu w Mirowie. Nieprawdaż?

Utonąwszy chwilę w przepaścistej głębi ciekawych oczu Reni, Żyleński odparł z uśmiechem:

— Tak jest. Więc pamięta pani?

Ogromnie, przyznaję się, byłem zaintrygowany osobą pani. Dawniej spotykałem zawsze i wszędzie panią Uszańską samą jedną.

Renia spuściła oczy i rzekła:

— Pan, zdaje się, dawniej nie bywał w Olanówce?...

Żyleński uśmiechnął się znowu pod wąsem.

— Rzeczywiście, dziś jestem po raz pierwszy.

— Ładnie tu — zobaczy pan. Jeśli babcia pozwoli, pokażę panu... to moje królestwo — dodała z czarownym uśmiechem, podnosząc na niego oczy.

— Pani lubi przyrodę?...

— Niezmiernie! Kocham ją, a ten zakątek to wprost, jakby jaką żyjącą istotę.

— Dawno pani bawi w tych stronach?

— Dwa lata i to sama jedna! — dokończyła z figlarnym uśmiechem.

— Niezbyt tu wogóle wesoło — spowiadała się dalej Renia — szczególniej w zimie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dramat na ul. św. Anny.

Powieść.

1) Przekład **G. P.**

ROZDZIAŁ I.

Pewnego ranka kwietniowego, właśnie gdy zegar zwiastował godzinę piątą, szedł mężczyzna w starszym wieku, nizkiego wzrostu, odziany w ciemny paletot i kapelusz o szerokiem rondzie ulicą „de Valois" i skierował się na „Quai Voltaire." Daniel Davidot, tak się nazywał spóźniony przechodzień, zbliżył się do domu pod liczbą 6 i spojrzał na okno oświetlone wprost po nad drzwiami głównemi, w którem ukazała się delikatna sylwetka młodej kobiety, wyglądającej lękliwie na ulicę.

— Acha, — mruknął Davidot, małżonek jeszcze nie wrócił z nocnej pohulanki, żal mi tej biedaczki, że się zawiedzie, lecz trudno do domu wejść muszę.

W rzeczy samej młoda osoba poruszyła się jak gdyby biedz chciała na spotkanie, lecz w tejże chwili poznawszy sąsiada, ukryła zawód i pozdrowiła go przyjaźnie.

Davidot spostrzegł ruch ten, to też wszedłszy na pierwsze piętro zatrzymał się przed otwartemi drzwiami, w których stała młoda kobieta i powiedziała uprzejmie: — Zniewolona byłam tej nocy pójść do matki pana, była bowiem bardzo cierpiąca.

— Czy boleści powtórzyły się znowu? zapytał Davidot, a twarz jego posmutniała widocznie.

— Źle spała, zdawało się, że dręczą ją jakieś sny straszne, starałam się ile można uspokoić ją.... teraz jej lepiej.

Mówiąc to podała klucz sąsiadowi, który oddawał jej go co wieczór wychodząc, gdyż wracał dopiero rano.

— Dziękuję pani z całego serca, — odparł Davidot głosem pełnym szczerej wdzięczności. — Czy znów mówiła tak wiele?...

— Jedynie słowa bez związku, zdawało się, że wcale nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi, że to było w malignie.....

Mężczyzna przygryzł wargi. Zrozumiał, że matkę męczyły znów wspomnienia jakieś okropne, które naprózno starał się wymazać z jej pamięci. Zawahał się jak gdyby chciał pytać jeszcze, lecz potem skłoniwszy się sąsiadce, otworzył drzwi do swego mieszkania.

W pokoju oświeconym skąpo nocną lampką, spała na dużem, wygodnem łóżku matka. Twarz jej woskowo blada i równy oddech zdradzały jednakże zupełny spokój. Rysy twarzy tej kobiety wykute jakoby z kamienia, świadczyły, że piękną chyba nie była nigdy, ale widocznem było, iż posiadała energią niezwykłą.

Syn stał chwilę obserwując ją, potem schylił się i złożył pocałunek na jej czole, lecz, zdawało się, jakoby ta stara kobieta wzdrygnęła się ze wstrętem za dotknięciem ust jego. Zadrżał i ukrywszy twarz w dłoniach wybiegł ponownie na korytarz. Drzwi do pokoju sąsiadki były jeszcze otwarte, być może, iż przypuszczała, że wróci znowu. — Dziękuję raz jeszcze, pani Alicyo, — rzekł Davidot stając na progu. — Zresztą jest to noc ostatnia, którą spędziłem poza domem, odtąd matka moja nie będzie już osamotniona.

Młoda kobieta, którą nazwał Alicyą, mogła mieć około lat dwudziestu sześciu. Brunetka z śniadą cerą twarzy, była więcej interesującą, niż piękną i tylko czarne, wyraziste oczy dodawały jej niezwykłego uroku. Usta trochę duże, zdawały się być stworzone do uśmiechu i wesołości, w tej chwili jednakże nabrzmiałe były jakoby od gwałtownego płaczu.

— Mój Boż! mówił Davidot poznawszy od razu, że smutna. — Może wyda się to pani niedyskrecyą z mej strony, lecz boli mnie naprawdę widząc panią, co okazujesz tyle współczucia mej matce, tak bardzo zmartwioną.

Alicya podniosła głowę i rzekła szorstko prawie: — Skąd pan wnosi, że jestem zmartwiona?

— Droga pani, mam lat sześćdziesiąt i mógłbym prawie być twym dziadkiem, — rzekł Davidot. Proszę się nie gniewać na mnie, że pragnąłbym w zamian za jej dobroć przysłużyć się w czemkolwiek. Wiem, że pani cierpi i w tej chwili powstrzymujesz się tylko od płaczu.

Jakoż Alicya istotnie załkała zakrywając twarz rękoma. Davidot przystąpił bliżej: — Powodem jest małżonek jej..., pan Clairac... nie oburzaj się pani; wiem dobrze, że noce spędza poza domem, a pani wyczekuje za nim do rana! Czyż niema nikogo, coby mógł wpłynąć na niego, jest jeszcze tak młody, może usłuchałby dobrej rady i porzucił ten nałóg nieszczęsny. Ach ta gra w karty, te karty!....

Alicya nagle zwróciła czarne swe oczy badawczo na twarz starego człowieka.

— Daruj pani! szepnął tenże.

— Nie, owszem mów pan, proszę pana bardzo, — mówiłeś, że gra w karty?....

— Jest to jedna z najgorszych namiętności, a mimo tego widziałam ludzi, którzy pozbyli się jej, szczególniej gdy tak, jak małżonek pani nie mieli wcale szczęścia....

— A więc pan utrzymuje na pewno, że mąż mój gra w karty? — rzekła patrząc bystro na niego.

— Jakto czy pani tego nie wiedziała?

— Mówił mi czasem.... ale czy to też prawda? pytała z zagadkowym uśmiechem.

— Niewątpliwie.

— Skąd pan wie o tem?

Davidot zawahał się, w końcu jednakże powiedział: — To do mnie należy, lecz ponieważ jestem pani winien tyle wdzięczności, powiem prawdę, proszę panią wszakże usilnie o zachowanie tajemnicy. Wiem, że mąż jej gra, bo widuję go co noc jak stawia wszystko, co posiada na kartę,

i przegrywa znaczne sumy. Przebywa w jaskini gry, gdzie jestem ustanowiony....

— Mówisz pan prawdę... mógłbyś przysiądz na to?

Davidot patrzał zdumiony na młodą kobietę, której twarz wypogodziła się znacznie. Nie mógł tego pojąć dlaczego tak się rozweseliła teraz.

— Nie wiesz pani niezawodnie, co znaczy gra taka? — ciągnął dalej z przekonaniem. Wiedzie ona do wszystkiego złego, wprost do zbrodni... czas wielki, aby ocalić twego męża, a pani nie ma widocznie pojęcia jakie niebezpieczeństwo czyna na niego w takiej jaskini!

— Czy przebywają tam także kobiety? — pytała Alicya uspokojona już bardzo.

— Nie chodzi tu wcale o kobiety, — rzucił on pogardliwie. Jest to szajka mężczyzn zdolna do wszystkiego, złoczyńców, co nie wzdrygnęliby się przed najohydniejszym występkiem. Tej nocy jeszcze zauważyłem męża pani przestawającego poufale z jednym z najbezczelniejszych łotrow....

— Ach więc doprawdy widział go pan dziś w nocy? — zawołała Alicya rozpromieniona biorąc za rękę Davidota. — Jakże jestem szczęśliwa, o powtórz pan jeszcze te słowa!

Mężczyzna osłupiał po prostu i zamilkł ze zdumienia, ona zaś mówiła dalej: — Pan mnie nie rozumie i sądzi zapewne, że zmysły postradałam! O nie, przeciwnie, bardzo jestem szczęśliwa i sprawiłeś mi radość taką, która wynagradza mnie stokrotnie za oddaną ci przysługę. Dlaczego? bo... bo jestem zazdrosna i słyszy pan!... z zazdrości po prostu umieram!

— Mówisz pan, że mąż mój gra; cóż mnie to obchodzi! Jest młody i dumny i nie chce dopominać się o środki, na których mu zbywa, u rodziny, która zaprzecza mu ich niesłusznie. Uniewinniam całkiem postępowanie jego, bo stworzony jest do bogactwa i zbytków!... Co do mnie, potrafię odmówić sobie wszystkiego, ale on!... Czegoż mogę żądać od niego, prócz tego, aby mnie kochał wiernie i szczerze! Co noc czekając napróżno jego powrotu przechodzę męki piekielne, czuję, że stałabym się okrutną gdyby mnie zdradzał, gdyby kochał inną!

Oczy Alicyi zaświeciły ponurym, niebezpiecznym blaskiem i Dawidot zauważył z przestrachem jak twarz jej mieniła się strasznie.

Mówił prawdę. Będąc krupierem w Palais Royal, obserwował przez kilka wieczorów męża Alicyi i żal mu było poniekąd tego młodego człowieka, tak przystojnego i dystyngowanego, prawdziwem też współczuciem przejęty był na widok rozradowania tej nieszczęśliwej kobiety.

— Mąż mój jest człowiekiem honorowym — mówiła — to też pojmując obawę pana, nie dzielę jej bynajmniej. Zapewne nie on sam jeden jest lubownikiem gry, niemniej wdzięczną panu jestem za dobre jego rady i spamiętam je sobie, zresztą Gaston mnie kocha, nie będzie więc trudno...

W tejże chwii drzwi główne skrzypnęły i Alicya zawołała radośnie:

— To on! dziękuję panu raz jeszcze — do widzenia!

Dawidot opuścił spiesznie pokój i wszedł do swego mieszkania. Matka spała jeszcze ciągle, usiadł więc na fotelu i zadumał się głęboko, a następnie zasnął snem twardym.

ROZDZIAŁ II.

Młoda kobieta wybiegła do sieni i schyliła się nad poręczą schodów, aby się przekonać, czy nie omyliła się znowu.

— Ach! — szepnęła zawiedziona — przychodzi z nim ktoś drugi.

— Jak to, nie śpisz jeszcze? — ozwał się głos jakiś donośny, młody, lecz mocno znużony.

— Słyszałam, że idziesz, więc...

— Wszystko za jedno, wróć do pokoju. Ten pan, jeden z mych przyjaciół, był tak grzeczny, że mnie odprowadził. Mamy rozmaite sprawy do omówienia, wejdziemy zatem do salonu.

Małżonek, gdyż był to Gaston Clairac, nie pomyślał nawet o tem, aby pocałunkiem powitać żonę. Towarzysz stał za nim, zmieszany widocznie, lecz gospodarz wprowadził go niebawem do pokoju. Był to mężczyzna wielce niesympatyczny, wysokiego wzrostu, chudej i pochyłej postawy, z policzkami zapadniętemi i szeroką blizną na czole, przeciętem gęstemi, szpakowatemi brwiami.

Twarz Gastona Clairac przeciwnie bardzo była ujmująca. Nizkie miał czoło, okolone kasztanowatym, bujnym włosem, duże, siwe oczy, wązkie wargi i małą bródkę, starannie utrzymywaną.

— Moja droga — rzekł na pozór wesoło, biorąc żonę za rękę — przedstawiam ci jednego z mych najlepszych przyjaciół, pana Vancroix, dawniejszego wychodźcę, który tak samo, jak i ja nie ma miru u obecnego rządu.

Pan Vancroix skinął głową i rzekł głosem nieco ochrypłym:

— Przepraszam panią usilnie, że przychodzę tu o godzinie tak wczesnej, mieszkam wszelako daleko ztąd, więc przyjaciel mój, Gaston ofiarował mi gościnę na godzin kilka, gdybym jednak przeszkadzał...

Na dźwięk tego głosu Alicya uczuła dziwny jakiś wstręt niewytłomaczony do przybyłego, zapanowawszy jednakże nad sobą, powiedziała uprzejmie:

— Przyjaciele mego męża są i mymi przyjaciółmi, proszę rozgość się pan tu jak w domu. Może pokrzepilibyście się panowie czemkolwiek?

— Prosimy o dwie filiżanki kawy — odrzekł Gaston — lecz potem udaj się na spoczynek, droga Alicyo.

— Zapewniam cię, mój drogi, że wcale nie jestem zmęczona — odparła żona, i łzy zakręciły się w jej oczach.

— Czy mam mówić wyraźniej jeszcze? — rzucił mąż niecierpliwie.

— Śliczna kobieta! — rzekł Vancroix, skoro Alicya wyszła z pokoju.

— Tak — powiedział Gaston niedbale — ale pochodzenia mieszczańskiego — omyłka młodości! mezalians prawie...

— Czy pan już dawno ożeniony?

Pięć czy sześć lat...

Alicya weszła znów, niosąc na tacce dwie filiżanki kawy, które postawiła na bocznym stoliku i zatrzymała się chwilę, jakoby oczekując dobrego słowa ze strony męża, lecz on milczał, bębniąc palcami po marmurowej płycie stołu.

— Jestem tam obok, gdybyś sobie życzył czego — rzekła wskazując na drzwi przyległego pokoju.

— Dziękuję, prawdopodobnie nic potrzebować nie będę, a ty odpocznij sobie, moja droga, wyglądasz blado i mizernie...

— Jakiś ty niedobry, Gastonie — rzekła grożąc mu palcem i uśmiechem, no, już się nie pokażę, dopóki mnie nie zawołasz — dodała, wychodząc z saloniku.

— Wróćmy teraz do naszego interesu — rzekł Gaston po wyjściu żony. Uważam, że od niejakiego czasu obserwujesz mnie pan bacznie, nie wyjawiając wszelako swoich zamiarów, powiedz pan nareszcie, o co chodzi?

— Mówiłem już panu, że czekałem, aż nie zwrócisz się pan do mnie. Szukałem człowieka energicznego, a zdaje mi się, że się nie omyliłem, sądząc, że nim jesteś. Myślę, że się porozumiemy i byłbym gotów przysłużyć się panu, ma się rozumieć za odpowiednim rewanżem.

— Chciałbyś pan dopomódz mi — rzcił Gaston, spoglądając na wytarte ubranie gościa, lecz prawdę mówiąc, wątpię, abyś mógł co uczynić dla mnie.

Vancroix wzdrygnął ramionami.

— Kiedy wilk jest głodny, najlepiej, gdy spotka drugiego równie głodnego, bo instynkt zachowawczy jednego uzupełni instynkt drugiego. Lecz przejdźmy do faktów. Jestem Hubertem Vancroix, potomkiem znakomitego rodu z Burgundyi, przeszedłem w życiu wiele, pragnąłem i pożądałem wiele, ale nie osiągnąłem niczego. Jako zagorzały rojalista poświęciłem się dla mego króla, który odpłacił mi się niewdzięcznością, zostałem więc zwolna tak zwanym rycerzem szczęścia, — a pan?

— Ja... nie mam przy sobie nawet stu franków.

— Sto franków, to dużo pieniędzy, ale nie o to tu chodzi, chciałbym wiedzieć, zkąd pan pochodzisz, dokąd dążysz, czy jesteś człowiekiem tym, którego szukam?

— Ach, badasz mnie pan! Ale mniejsza o to. Kim jestem? Błaznem, głupcem, który miał już może nieraz szczęście w swej dłoni, ale nie potrafił go zatrzymać. Człowiekiem ginącym w bezskutecznej walce, bo mimo trudów wszelkich, nienawiść zbieram jedynie. O, gdybym nie był popełnił tego pierwszego głupstwa...

— To jest ożenku? — przerwał Vancroix, głos zniżając.

— Tak, rzeczywiście, była to głupia romantyczna przygoda. Ocalono mi życie, okazałem się wdzięczny, ubóstwiano mnie!.. a ja czuję dziś, że toczę się w przepaść coraz głębszą, wiem, przecież, że potrzeba tylko jednego szczęśliwego wypadku, abym odszukał stanowisko utracone w świecie. Ale los mnie prześladuje. Codziennie nowe poniżenia, nowe zawody! Gdyby szczęście choć raz uśmiechnęło się do mnie, mniejsza o to, jakiemi zdobyte środkami, zemściłbym się za to życie zaparcia się i biedy, która mnie dławi i zabija! Oh, gdyby pan wiedział!..

— Słowem, by wyjść z tego położenia, zdecydowałbyś się pan na wszystko?

Clairac spojrzał bystro na mówiącego i po chwili wahania odparł stanowczo:

— Tak, na wszystko.

— Jesteś pan sierotą, masz jednak krewnych?

Młody człowiek zaśmiał się szyderczo.

— Tak, wiem, rodzina nie dba o pana, bogaci kuzynowie nie myślą przyjść ci z pomocą, a co się tyczy spadku po ciotce...

— Zkąd pan wiesz to wszystko?

Nie odpowiadając na pytanie, Vancroix mówił dalej:

— Nie może pan liczyć na niego z powodu pewnych zajść i tym sposobem wymykają ci się co najmniej dwa miliony.

Clairac załamał ręce:

— Tak, dwa miliony, bo ta stara waryatka nienawidzi mnie!

— No, widocznie nie jest taką waryatką, skoro zdołała ocalić z zagrożonego rewolucyą majątku tak ładny kąsek.

— A przytem nie zużywa nawet dziesiątej, co mówię, setnej części swych dochodów.

— Nic dziwnego, starzy ludzie po części są oszczędni, a więc hrabina... jak się nazywa? mam pamięć krótką...

— Hrabina Versannes jest rodzoną siostrą mego ojca.

— Hrabina ukrywa podobno tysiące luidorów po starych meblach, w piwnicy, a nawet w murach swego zamku w Neuilly. Każdy z nas ma jakąś pasyę!

— Tymczasem gdy ta nędznica wegetuje pośród ogromnych swych bogactw, ja umieram z niedostatku i wściekłości!

— Z tej ostatniej przedewszystkiem, a szczególniej nie mogąc kupić pewnych pięknych brylantów, oglądanych ostatnio w galeryi „Valois".

— Więc pan szpieguje mnie poprostu! — wykrzyknął Gaston przerażony.

— Hm, to brzydkie słowo, interesujesz mnie pan, ot wszystko! Widziałem pana przyglądającego się z błyszczącemi oczami ozdobie tej w oknie wystawnem Fromenta i pomyślałem sobie: Doprawdy, szkoda, że ten przystojny młodzieniec nie może nabyć tak kosztownego cacka dla pani swego serca.

— Cicho! — szepnął Gaston Clairac, kładąc palec na usta i spoglądając na drzwi, w których zniknęła Alicya.

Vancroix uspokoił go ruchem ręki.

— Szkoda przedewszystkiem, że ta pani jest kobietą tak majętną, iż mogłaby w danym razie naprawić wszelką niesprawiedliwość losu.

— Dosyć tego! — zawołał Gaston, zrywając się gwałtownie. — Za wiele już panu wiadomo, lecz wypraszam sobie...

— No, no, proszę się nie gniewać, nie jestem przecież takim głupcem, aby nie wiedzieć, z kim mam do czynienia.

— Powtarzam jednakże raz jeszcze, że dla mnie nic pan zrobić nie możesz.

Vancroix powstał i kładąc dłoń na ramieniu Gastona, rzekł mu prosto w oczy:

— Posłuchaj mnie pan, jesteś nędzny, nędzniejszy odemnie, bo posiadasz ambicye i pragnienia, a ja pozbyłem się ich na zawsze przedewszystkiem zaś, bo jesteś jeszcze młody i masz przed sobą może długie życie, pełne troski, gdy moje skończyć się może wkrótce. Powiedz sam, czy nie przejmuje cię ból dziki, gdy lokaje tej pięknej pani, o której mówiłem, drwią sobie z ciebie poza jej plecami?

— Milcz pan, czemu dręczysz mnie tak okrutnie, staraj się dopomódz mi raczej.

— Mówiliśmy o ciotce pana, hrabinie Versannes. Zdaje się, że mieszka ona całkiem samotnie?

— Tak, tylko stary ogrodnik jest w pobliżu.

— Czy pan byłeś tam już kiedy?

— Raz jeden, przed pięciu czy sześciu laty.

— I jakiż był skutek tej wizyty?

— Żaden, wzbraniała się wogóle uparcie, aby mnie przyjąć.

— I nie podejmowałeś pan już dalszych kroków?

— Nie, pocóżby?

— No, kto wie, starzy ludzie miewają kaprysy! Ciotka pana, być może, nie zna wcale twego położenia. Gdybyś je pan przedstawił... jest bardzo majętna, potrzebowałaby tylko sięgnąć do szuflady biurka, aby spełnić wszystkie twe życzenia.

— Mówię panu, że nie przyjęłaby mnie tak samo dziś, jak wtedy, owszem psami wyszczućby mnie kazała!

— Komu? temu staremu ogrodnikowi? Hm, może moglibyśmy ją odwiedzić we dwóch?...

— Vancroix powstał, zdawał się uznawać, że wizyta jego trwała już zbyt długo, wziął kapelusz w rękę, dodając jeszcze:

Rzecz prosta, że trzeba nam będzie porozumieć się lepiej jeszcze w tym względzie. Miły Boże, chodzi mi tylko o to, aby dopomódz panu, zresztą bezwątpienia przybędziesz dziś na obiad do „Palais Royal", tam się umówimy, sądzę, że pani Clairac nie będzie zbyt oburzona, iż jej zabieram małżonka.

— Przyjdę i polegam zupełnie na panu, lecz teraz chciałbym spocząć nieco — do widzenia!

Obydwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Vancroix wyszedł z pokoju, Gaston zaś, pogładziwszy rozwichrzone włosy, i układając wązkie swe usta do uśmiechu, poszedł do drugiego pokoju, gdzie czekała nań pełna tęsknoty Alicya.

(Ciąg dalszy nastąpi.)